CENA 1 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 31.X.1967 Nr 20 (377) R. XXXIV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

TAJGA, LUDZIE, MEGAWATY

ANDRZEJ MALINOWSKI

OD trzech minut siedzę już w głębokim fotelu odrzutowca „Aeroflotu". Sąsiad z lewej, doświadczony bywalec, wybrał mi miejsce z uwzględnieniem wszelkich prawideł sztuki wygodnego podróżowania.

— Nigdy nie siadajcie z tyłu — przestrzegał — bo huczy i trzęsie. Z pierwszych rzędów foteli jest również najlepsza widoczność, dalej zasłaniają skrzydła...

W moim przypadku ostatni argument nie ma znaczenia. Ciemno, choć oko wykol, nad Moskwą mżawka i porywisty wiatr, jaskrawym światłem jarzy się tylko szklany gmach portu lotniczego i tuż nad płaskim dachem niebieski, neonowy napis: DOMODIEDOWO. Lotnisko dorównuje nowoczesnością szereremietiewskiemu, a sam budynek to prawdziwa perełka nowej radzieckiej architektury, która na miejsce monumentów i cukierniczych ozdóbek wprowadza prostotę i funkcjonalność. Coś podobnego można zobaczyć w kremlowskim Pałacu Zjazdów i na pięknym Nowym Arbacie, opiewanym przy akompaniamencie gitary przez Bułata Okudżawę.

Uprzejmy sąsiad wie już, że lecę do Bracka i nie szczędzi dobrych rad: co oglądać, co jeść, na co zwrócić szczególną uwagę.

— Przy okazji będziecie z pewnością nad Bajkałem — stwierdza tonem nie dopuszczającym sprzeciwu — przecież pięćset kilometrów to żadna odległość. Jeśli tak, koniecznie skosztujcie omula — występuje tylko w tym jeziorze i próżno szukać go gdzie indziej na świecie. Buriaci przyrządzają rybę na dwa sposoby: z zapaszkiem i bez — jak kto lubi, ja wolę jednak omula suszonego na słońcu.

Zapewniam mego rozmówcę, że skosztuję osobliwej ryby, choć osobiście nie sądzę, aby przypadła mi do gustu ta z zapaszkiem. Stanowczo wolę jednak świeże potrawy.

Prawdopodobnie uznał mnie za kompletnego kulinarnego ignoranta, ale taktownie zmienia temat.

— Lecicie więc do Bracka — myśli przez chwilę i dodaje — sam nie byłem, ale mówią, że elektrownia na każdym musi zrobić wielkie wrażenie...

On sam leci „tylko" do Omska. Reprezentuje dużą fabrykę motocykli w pobliżu Moskwy, której do wykonania planu zabrakło reflektorów. To świecące „ustrojstwo" produkuje właśnie odległy zakład za Uralem, ale ostatnio kooperacja szwankuje i mój sąsiad odbywa podróż w kłopotliwej misji wydobycia reflektorów choćby spod ziemi. Słuchając o trudnościach nie znanej mi fabryki, natychmiast poczułem się swojsko. Wprawdzie mówią, że „co kraj to obyczaj", ale kłopoty z kooperantami nie mają widać granic.

Odlot o pierwszej. Deszcz nadal mży, ale ani noc, ani pogoda niczego nie zmieniają w rytmie pracy Domodiedowa. W samolocie sennie i nudno, większość pasażerów drzemie nie czekając na start, tylko nieliczni słuchają suchego komunikatu stewardessy.

— Temperatura w Moskwie — 12, w Irkucku — 7 stopni powyżej zera. Polecimy na wysokości 10 000 metrów, z prędkością 900 kilometrów na godzinę. Podczas startu zapiąć pasy i nie palić, za godzinę pierwszy posiłek.

TU-104 gładko oderwał się od pasa wytyczonego koralikami czerwonych lampek, a kiedy za godzinę pałaszowałem kurczaka z groszkiem, leciał już wyznaczonym kursem, nad wysrebrzoną księżycem gęstą powłoką chmur. Za cienką szybą iluminatera — bardzo już rozszerzone powietrze, siarczysty mróz dochodzący ponoć do 50 stopni i tylko nieco z tyłu, na końcu skrzydła, błyszczy zielone światełko pozycyjne. Nadzieja na obejrzenie z góry rozświetlonego martenowskimi piecami Świerdłowska — utonęła niestety w chmurach.

Powietrzna podróż do stolicy Wschodniej Syberii potrwa siedem godzin, ale na irkuckim lotnisku

(Dokończenie na str. 9)

Ankieta „Kameny" wśród pisarzy (4)

50 LAT LITERATURY RADZIECKIEJ

Na początku była poezja...

WILHELM SZEWCZYK

NA ankietę „Kameny" odpowiadam z tym większą przyjemnością, ponieważ właśnie „Kamena" odegrała dużą rolę w pogłębianiu się mojej znajomości literatury radzieckiej. Zaczęło się od poezji — wszak już w pierwszym roczniku „Kameny" obok przekładów z Błoka, Jesienina i Majakowskiego pojawiły się nazwiska Tyczyny i Rylskiego. Przez „Kamenę" — w której sześćdziesięciu numerach, stojących teraz w pięknie oprawionych rocznikach w moim pokoju, coraz więcej było przekładów z poezji radzieckiej — dotarłem do Maksyma Tanka. Do mojego małego miasta powiatowego na dawnym pograniczu polsko-niemieckim nadeszła pewnego dnia przesyłka poetycka, a był to „Kwiat żurawiny" z dedykacją autora. Przedtem już nawiązałem nieśmiały kontakt listowny z autorem, co — przyznam się chętnie — wynikało nie tylko z uznania dla jego poezji, lecz może przede wszystkim z faktu, iż człowieka z pogranicza interesowało i tamto odległe pogranicze: z tych samych przecież powodów tak ignąłem wówczas już do poezji łużyckiej (i tu „Kamena" była dobrym informatorem oraz przewodnikiem), co po wielu latach znalazło swoje dopełnienie w „Antologii poezji łużyckiej".

A jeszcze — by zakończyć etap przedwojennej „Kameny" — gdy we wrześniu 1939 znalazłem się w Chełmie Lubelskim, powędrowałem na tak dobrze mi znaną (z wyobraźni) ulicę Reformacką, by po raz pierwszy odwiedzić, mimo niezwykłe warunki, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Wyniosłem od niego do mojej wioski nadbużańskiej, gdzie się chwilowo zatrzymałem, tomiki poetyckie Błoka i Jesienina, które towarzyszyć mi miały przez dalszy okres wędrówki wojennej. Spotkałem wówczas u K. A. Jaworskiego Adama Polewkę i — wstyd się przyznać — kiedy on roztaczał osobliwą wizję partyzantki i przyszłej w niej roli tatarskich nadwiślańskich ścieżek, ja myślałem o poezji i przeglądałem książki, których przedtem nie miałem w rękach.

Ale nie tylko poezja... Pojawił się wówczas również i radziecki epik, pierwszym zaś był Leonid Leonow ze swymi „Borsukami" i „Złodziejem". Jak to dziwnie się plecie... W sierpniu roku bieżącego, gdy znalazłem się w Moskwie, nadarzyła się okazja i odwiedziłem Leonowa w jego daczy w Pieredielkino. Jadłem jabłka z jego ogrodu, oglądałem jego wypielęgnowaną kolekcję kaktusów, ale przede wszystkim nagadaliśmy się, także o tamtych latach, kiedy powstawały „Borsuki", także o tym — po prostu dlatego, że i mnie samemu miło było spiąć klamrą przyjaźni owo pierwsze pochylenie się nad jego książką z tym wszystkim, co o literaturze radzieckiej wiem dzisiaj.

A wiem o niej może nie tak wiele, jak o pewnej innej literaturze sąsiedzkiego naszego narodu, lecz chyba wiem rzecz najistotniejszą: że jest to literatura moralnej czystości. Od dawna staram się pisać i mówić o literaturze obowiązku wobec narodu i epoki, co w pewnych dyskusjach (i słusznie) nazwano literaturą obywatelską, nie wstydzę się także, że nie pomijam żadnej okazji, by sławić literaturę ludzkiego, narodowego, obywatelskiego trudu i pracy — także „produkcyjnej", jeżeli wpływa ona na przemiany człowieka, uczestniczy w jego życiu, w jego radościach czy nawet tragediach. Literatura radziecka — zwłaszcza w swych największych osiągnięciach — przez nobilitację pracy ludzkiej, nie oderwanej od całokształtu ludzkich poczynań, którym nie brak dramatyczności — stała się w tym kontekście dobrym probierzem obowiązków literackich. I ona popełniała pomyłki w tej dziedzinie, i ona zbyt łatwo ulegała nakazom zewnętrznym, nie przefiltrowanym należycie przez osobiste doświadczenie pisarskie, a przecież zadziwia jej upór w podejmowaniu wciąż na nowo spraw i wątków, tak istotnych w rozwoju świadomości współczesnych społeczeństw, zwłaszcza, gdy wybrały one drogę socjalizmu.

Poszukuje w tej literaturze prawdy o tych elementach psychiki ludzkiej, które powstają w niej, gdy człowiek styka się z obowiązkiem choćby najtrudniejszym, ale koniecznym, gdy widzimy go w boju lub przy warsztacie produkcyjnym, gdy wtłoczony zostaje w niezawiniony przez siebie mechanizm, o czym tak wiele jest w ostatnich szczególnie utworach literatury radzieckiej. Wiem, że pisarze radzieccy, zaspokajając ten głód prawdy, nie są wcale beznamiętni. Cenię ich aktywność i zaangażowanie, które wcale nie ucieka w krainę wielkiego, filozoficznego uogólnienia, na marginesy jakże łatwe do wypełnienia efektownymi tak zwanymi złotymi myślami — ich komentarz artystyczny mieści się niemal wyłącznie w kręgu przedstawionych realiów, jest dopełnieniem obrazu, części jakże realistycznego zamysłu pisarskiego.

(Dokończenie na str. 5)

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ

Literatura

* W Radziejowicach pod Warszawą odbył się pierwszy zjazd pisarzy medyków, na którym powołano do życia oddział polski Unii Pisarzy Medyków.

* Francuskie wydawnictwo „Delta" podjęło pełne wydanie ponad 400 listów, napisanych na 1.700 kartkach przez Balzaka do Hańskiej. Pierwszy tom już się ukazał. Będzie to pierwsze pełne wydanie tej korespondencji we Francji.

* Jak podała prasa radziecka książki z dziedziny science-fiction cieszą się wśród mieszkańców Moskwy coraz większą poczytnością. Czyta je co ósmy robotnik, co piąty inżynier i co siódmy student.

II Ogólnopolski Przegląd Teatrów Jednego Aktora, na którym zaprezentowano 20 spektakli.

* „Złotą tiarę", czyli najwyższą nagrodę na pierwszym międzynarodowym Quadriennale w Pradze (konkurs dekoracji, kostiumów i architektury teatralnej) otrzymały za całość ekspozycji teatry francuskie. Nagrodę specjalną za najlepsze wystawienie opery Mozarta (180 rocznica prapremiery światowej „Don Juana") zdobył Berliner Ensemble z NRD. Sześć nagród otrzymali artyści Czechosłowacji, głównie z teatrów w małych miasteczkach.

* Sir Laurence Olivier, po udanej operacji raka, jest już zdrów i wraz ze swoją grupą teatralną wyjechał do Kanady. Przewiduje się 40 przedstawień 3 sztuk, a także występy na Expo-67 w Montrealu.

* 34-letni dramaturg hiszpański Fernando Arrabal, zatrzymany w Madrycie przez władze pod zarzutem obrazy Boga i ojczyzny, został po wielu miesiącach uniewinniony przez sąd i może wrócić do Paryża, gdzie mieszka od 12 lat. Arrabal należy do hiszpańskiej awangardy.

* „Teatr w Chinach przekształcony został w prymitywny środek propagandy politycznych założeń obecnego kierownictwa KPCh i idei Mao Tse-tunga. Tendencje te przejawiały się już od dawna, obecnie jednak mają charakter otwartych żądań pod adresem pracowników teatru. Kto nie chciał podporządkować się tym postulatom ten został usunięty bądź zlikwidowany, a ich teatry zamknięte" — pisał 5 października dziennik radziecki „Sowietskaja Kultura".

* W Zurychu kilka dni przed premierą doszło do zerwania kontraktu pomiędzy autorem sztuki „Biografia" Maxem Frischem i reżyserem Rudolfem Noelte (Niemcem). Ten ostatni chciał skreślić scenę, w której występuje sympatyczny komunista, autor odmówił i zakazał wystawienia sztuki.

* Peter Ustinow, który właśnie w Nowym Jorku gra we własnej sztuce „Half Way up the Tree", oświadczył bohatersko: nie będę więcej występował we własnych utworach, nie chcę być Atlasem, który usiłuje podtrzymywać słabe rzeczy. Niech trzymają się same.

* Teatr miejski Romain-Rollanda w Villejuif od połowy października do 30 listopada wystawia „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem" Johna Reeda w adaptacji R. Gerbala.

Oto afisz propagandowy malowany przez Majakowskiego w 1923 r., a propagujący noszenie obuwia gumowego. Tekst w wolnym tłumaczeniu: „Deszczyku, deszczu na próżno lejesz, ja nie wyjdę bez kaloszy, przy pomocy „Gumotrestu" wszędzie znajdę suche miejsce. Sprzedaż wszędzie".

* W wieku 82 lat zmarł w Paryżu jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy francuskich André Maurois (właściwe nazwisko Emile Herzog), od 29 lat członek Akademii Francuskiej, powieściopisarz, biograf, historyk i eseista. W języku polskim m. in. „Klimaty", „Wrześniowe róże", „W poszukiwaniu Marcela Prousta", „Byron", „Magicy i logicy", „Pamiętniki".

* Najgłośniejszy w Portugalii pisarz współczesny Ferreira de Castro obchodził 50-lecie pracy (ma 63 lat). Na uroczystości, zorganizowanej przez jego przyjaciół, nie zjawił się żaden przedstawiciel władz. De Castro konsekwentnie walczy z dyktaturą Salazara.

* Po długiej licytacji co do wysokości honorarium za prawo drukowania w USA „Antypamiętników" André Malraux wygrała firma nowojorska „Holt, Rinehart and Wiston", płacąc 350 tys. dolarów. Cena obejmuje pierwszy tom, który już się ukazał we Francji, oraz następne, na druk których autor pozwala dopiero po swojej śmierci.

* Czasopismo włoskie „Iniziativa Isontina" ukazujące się w Gorizia zorganizowało sympozjum pisarzy na temat „Powieść po wojnie". Przybyło ponad 100 osób z Włoch, Austrii, Czechosłowacji, Jugosławii, Węgier i NRD.

Teatr

* Z okazji rocznicy październikowej Teatr Ziemi Łódzkiej wystawi polską prapremierę adaptacji opowiadania Michała Szołochowa „Los człowieka". Także w Łodzi w grudniu zakończy się Ogólnopolski Festiwal Teatrów Lalkowych poświęcony dramaturgii radzieckiej, połączony z wystawą obrazującą jej osiągnięcia.

* Teatr w Poznaniu rozpoczął sezon prapremierą napisanej przed 60 laty sztuki Tadeusza Micińskiego „W mrokach złotego pałacu czyli Bazylissa Teofanu". Autorem adaptacji jest St. Hebanowski, inscenizacja M. Okopińskiego, w rolach głównych Danuta Balicka i Marian Pogasz.

* W dniach 15—20 października odbył się we Wrocławiu II Ogólnopolski Festiwal Teatrów Jednego Aktora, na którym zaprezentowano 20 spektakli.

Muzyka

* Warszawski Teatr Wielki 14 października rozpoczął cykl koncertów symfonicznych dla uczczenia 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Na samą rocznicę wystawi operę P. Czajkowskiego „Eugeniusz Oniegin". W grudniu zaś wyjedzie do Moskwy, gdzie pokaże „Halkę", „Straszny dwór", „Harnasie", „Carmen" i „Króla Edypa". W tym czasie do Warszawy przyjedzie moskiewski Teatr Wielki („Bolszoj").

* 15 koncertów w NRF da Filharmonia Krakowska. Jako soliści wystąpią H. Czerny-Stefańska i Wł. Kędra, dyrygować będą H. Czyż i K. Missony.

* Na festiwalu młodych piosenkarzy z krajów socjalistycznych w Soczi I nagrodę otrzymała Bogdana Karandotschewa, dwie II Helena Majdaniec i Gerhard Neef z NRD.

* Płyta z piosenką „Październik", której autorami są Francuzi Philipe Gérard i Jean Drèjac, cieszy się w Moskwie olbrzymim powodzeniem. Dotychczas sprzedano ponad 700 tysięcy płyt. Gagarin powiedział o tej piosence: jeżeli będę miał okazję, zaśpiewam ją na Księżycu.

* Przemysł krajowy pokrywa tylko 52 proc. zapotrzebowania rynku na instrumenty muzyczne. Ale np. pianin wyrabiamy nadmiar i eksportujemy je do 35 krajów.

czerpał w małych barach, na

* Po 13 latach niemal całkowitego paraliżu zmarł w szpitalu nowojorskim kompozytor, śpiewak i gitarzysta 55-letni Woody Guthrie. Jest autorem ponad tysiąca ballad ludowych, do których tematy dworcach, w bocznych uliczkach.

* Teatr Muzyczny w Świerdłowsku przygotowuje premierę komedii muzycznej „Halo, Warszawa!". Autorami są kompozytor Nikita Bogosławski i dramaturg Jakub Ziskind. Akcja tego raczej musicalu toczy się w Warszawie, Moskwie, Tbilisi, Odessie i na biegunie północnym.

* W Bukareszcie odbył się IV Festiwal Enesco (co 3 lata), połączony z konkursami w różnych dziedzinach. Był również wieczór muzyki polskiej. Wszystko odbywało się w gmachu konserwatorium, które posiada do własnego użytku salę operową na 500 miejsc, studio filmowe, drukarnię nut, salę muzyczną z 300 miejscami, wszelkie urządzenia do rejestrowania produkcji na płytach i taśmach.

* Kompozytor węgierski G. Ligeti otrzymał nagrodę Berthovena za rok 1967, przyznaną przez miasto Bonn. Nagrodzone zostało „Requiem", odegrane po raz pierwszy w Sztokholmie w 1965 r.

Sztuka

* We Florencji odbyło się piąte Biennale starych mebli. Ceny od ub. roku wzrosły przeciętnie o 15 proc. Najbardziej kosztownym meblem okazała się olbrzymia szafa biblioteczna (18 m długości i 3 m wysokości), rzeźbiona, wypalana, inkrustowana itd. — razem 128 tys. dolarów. Do tego 8—30 proc. opłaty celnej (przy wywozie z Włoch).

* 10 domów towarowych koncernu „Prisunic" we Francji rozpoczęto sprzedaż po 100 franków litografii i rysunków 6 znanych malarzy abstrakcyjnych. Inne domy towarowe przygotowują się też do otwarcia działów sprzedaży współczesnych grafik.

* Znany malarz włoski Renato Guttuso zakończył serię 40 autobiograficznych obrazów, które — jak mówi — są prostym opowiadaniem o życiu. Jedno z płócien nosi tytuł „Dzieci Warszawy".

* Malarz Raymond Loewy uruchomił w Paryżu dość niezwykłą rzecz: malowanie przez telefon. Chętny najpierw kupuje szablon, a potem we własnym domu maluje pod dyktando telefoniczne. Z aparatem Loewy'ego może się połączyć jednocześnie kilkanaście osób.

* W wieku 87 lat zmarł w Paryżu rzeźbiarz Jakub Swoboda, urodzony we Francji, z pochodzenia Czech. Od 18 lat, po śmierci żony, wystawiał tylko rzeźby, które były przeznaczone na pomnik, jaki zamierzał jej postawić na pamiątkę wielkiej miłości.

* 1485 dzieł, 858 artystów w wieku poniżej 35 lat, reprezentujących 53 kraje — oto krótki bilans tegorocznego V Biennale sztuki współczesnej w Paryżu.

* Pierwszy festiwal sztuki w Iranie zakończył się przyznaniem Złotej Róży orkiestrze francuskiej pod dyrekcją Gilberta Amy, pierwszą nagrodę w dziale sztuki otrzymał reżyser japoński Kurosawa za „Czerwoną Brodę". Festiwal ma być spotkaniem sztuki wschodniej z zachodnią.

* Ekstrawagancki malarz Salvavdor Dali zamierzał przejechać Pireneje na grzbiecie słonia — tą samą trasą, którą pokonał niegdyś Hannibal. Z Indii przysłano mu nawet 11-miesięcznego słonia, ale słoń w żaden sposób nie chce się obłaskawić i obrażony malarz zrezygnował z zamierzonego wyczynu.

* W listopadzie wystąpi w Austrii z 10 przedstawieniami „Comédie-Française". W programie przede wszystkim „Cyd".

* Opera wiedeńska rozpoczęła sezon składanką baletów, w jednym z nich wystąpiła Margot Fonteyn. Ale w sezonie widzowie zobaczą 6 nowych oper.

* W Monte Carlo rozpocznie się wkrótce budowę nowej sali operowo - teatralnej, która pomieści 2.500 słuchaczy. Dotychczasowa Opera Garnier ma 600 miejsc.

* Piosenkarz Charles Trenet twierdzi, że niektóre piosenki Amavoura, Chaplina, Brassensa i Antoine oraz Claude Francois są plagiatami jego piosenek. Wszystkich skarży do sądu z wyjątkiem Chaplina, który — jego zdaniem — jest znacznie starszy i ma dość pieniędzy, aby honorowo zakończyć sprawę.

Różne

* „Partia nadal widzi w artystach i pracownikach kultury swój najbliższy aktyw, współpracowników, z którymi związana jest jednością celów i nie zamierza kulturze niczego polecać ani dyktować. Nasza partia nie pozwoli sprowadzić się kilkoma histerycznymi wystąpieniami błądzących i chwiejnych jednostek do zmiany swej polityki stałego pogłębiania demokracji" — pisał w ostatnim numerze ukazujący się w Pradze tygodnik „Kulturni Tvorba".

* W Budapeszcie zmarł nagle w wieku 54 lat Jacques Billiet, przewodniczący FIJET — międzynarodowej federacji pisarzy i dziennikarzy zajmujących się turystyką. Przez wiele lat był współpracownikiem „L'Humanité".

* Krytyk „Literary supplement", dodatku literackiego londyńskiego „Timesa", tak napisał o opublikowanych niedawno w Anglii pamiętnikach Swietłany Alliłujewy: „jest to miernota o niewielkiej historycznej wartości". I dodaje, że jedyną wartością książki „20 listów do przyjaciela" jest tylko fakt, że została ona napisana przez córkę Stalina.

* Jacques Soustelle, który wciąż nie może wrócić do Francji, wydał w Szwajcarii książkę „Meksyk". Jest ona w całości poświęcona starej kulturze tego kraju i wzbudziła duże zainteresowanie nawet wśród fachowców.

* Louis Aragon, który właśnie obchodził 70-lecie urodzin: „Czego sobie życzę? Pod żadnym warunkiem nie dożyć stu lat".

Film

* Lord Snowdon, b. fotograf i obecny małżonek księżniczki Małgorzaty, też debiutuje w filmie. Razem z D. Hartem podjął produkcję filmu, który ma obrazować życie brytyjskie — nic więcej jak dotąd o temacie nie wiadomo.

* Jedna z wybitnych aktorek filmowych Maria Scheli debiutowała z powodzeniem w „Damie kameliowej", wystawionej przez mediolański teatr Piccolo. Tak samo Vittorio Gasman w „Ryszardzie III" na scenie teatru miejskiego w Turynie.

* Słynny mim francuski Marcel Marceau też uległ czarowi kamery filmowej. W tej chwili przebywa w Rzymie, gdzie występuje w filmie, który kręci Roger Vadim. Marceau nie jest mimem, ale normalnym aktorem. Oczywiście mówi.

* „Powiedz co robiłeś w nocy, podczas której zabiłeś barona von Richthofena" — to podobno najdłuższy (dotychczas) tytuł filmu, jaki robi się w studio Paramount. W rolach głównych Rock Hudson i Julie Andrews.

* Podczas XIX olimpiady w dniach 12-27 października 1968 r. odbył się w Mexico festiwal filmów eksperymentalnych.

* Z okazji 80 rocznicy urodzin Henri Varna wynajął olbrzymią salę restauracyjną i ogłosił, że na 1 listopada zaprasza wszystkich 80-latków, ilu tylko zmieści się w sali, na kieliszek szampana.

* Richard Burton z okazji jakiejś uroczystości rodzinnej ofiarował swojej żonie Liz Taylor dziesięciomiejscowy samolot odrzutowy.

* Gina Lollobrygida i jej mąż złożyli wniosek o unieważnienie ich małżeństwa sprzed 18 lat. Oboje twierdzą, że już w chwili jego zawierania nie wierzyli w nierozerwalność małżeństwa, jakiej domaga się kościół katolicki.

* Franck, syn Fernandela, po niepowodzeniach w filmie próbuje teraz sił na deskach teatrów. Krytycy unikają wyrażania o nim swojej opinii, co jest równoznaczne z dyskwalifikacją.

Młoda aktorka z Uzbekistanu E. Ikmukamedowa w filmie „Czułość".

Notes „Kameny"

Uderz w stół...

Jeszcze raz o „Wolnej Europie"

JÓZEF BARECKI

CZYTELNICY „Kameny" pamiętają zapewne artykuł pt. „Koronny świadek „Wolna Europa", w którym zwróciłem uwagę na podjętą przez tę rozgłośnię próbę zaciemnienia prawdy o agresji izraelskiej na Bliskim Wschodzie.

Uderz w stół a nożyce się odezwą... „Wolna Europa" odezwała się, żałosny to był jednak głos, bezsilny i nawet nie próbujący ukryć tej jeszcze jednej kompromitacji, na jaką naraziła ją równie długa, co kłamliwa audycja z 25 czerwca br.

Przede wszystkim „Wolna Europa" nie podjęła rzeczowej polemiki z przytoczonymi przeze mnie faktami, ograniczyła się natomiast do wypróbowanej przez siebie metody insynuacji i podawania w wątpliwość najbardziej oczywistych spraw. Czego tam nie było? *Wyprowadzeni z równowagi propagandyści z Warszawy*, zdziwienie, że będąc publicystą „Trybuny Ludu" polemizuję z „Wolną Europą" na łamach „Kameny", a nie prasy warszawskiej, zdemaskowanie mnie jako złego komunistę bo w polemice z „Wolną Europą" posługuję się materiałami zamieszczonymi w burżuazyjnym piśmie francuskim i wreszcie podanie w wątpliwość w ogóle mojej moralności oraz stosunków panujących w Polsce na podstawie tego, że nie wymieniłem w swoim materiale nazwiska autora sławetnej audycji w „Wolnej Europie", pana Adama Ciołkosza.

Po takim pasztecie człowiek nie wie, co bardziej podziwiać: tupet „Wolnej Europy", czy jej naiwność. Tupet — bo „Wolna Europa" potrafi wytrząsnąć z rękawa argument, jakoby jej audycja *wyprowadziła propagandystów w Warszawie z równowagi*. I naiwność — bo zaraz się pyta, dlaczego mój materiał ukazał się w „Kamenie", a nie w prasie warszawskiej. Gdyby półanalfabeta, który donosi takie kawałki „Wolnej Europie" był trochę bardziej inteligentny, nie narażałby swych mocodawców na śmiech każąc im posługiwać się bzdurnymi faktami.

Enuncjacje Ciołkosza nikogo w Warszawie nie wyprowadziły z równowagi. Zbankrutowani politycy polscy, poszczekujący na Polskę z terenu Niemiec zachodnich za amerykańskie pieniądze, nie są w stanie nikogo poruszyć. Takie jest już ich rzemiosło, dostają więc odprawę, na jaką zasługują. Zdziwienie zaś „Wolnej Europy" dlaczego publicysta (skąd ta „dokładna" wiadomość) „Trybuny Ludu" pisze w „Kamenie" jest zrozumiałe, ale całkowicie chybione, jeśli ma na celu wywołanie nieufności wobec tego, co on napisał. Po prostu długo przed tym, zanim się stałem „publicystą" w „Trybunie Ludu" współpracowałem stale z „Kamenu". I współpracuję nadal, co gdyby „Wolna Europa" dostrzegła, może by uniknęła głupiej sytuacji i głupiego pytania?

I wreszcie te francuskie cytaty pod komunistycznym piórem, te „impresje" jak „Wolna Europa" nazywa udokumentowany, autentyczny reportaż znanego francuskiego dziennikarza. To już jest sprawa zasadnicza. „Wolna Europa" znana jest z tego, że każdy głos z Polski, jeśli jest głosem krytycznym wobec tego, co ona mówi, kwalifikuje jako coś pisanego pod naciskiem, wypowiedź nie zasługującą na uwagę i nie mającą żadnego znaczenia. Warto przy tym dodać, że propaganda zachodnia, zwłaszcza w takich krajach kapitalistycznych jak Stany Zjednoczone, Anglia i Niemcy zachodnie, od dłuższego czasu zaciemniały prawdziwy obraz stosunków na Bliskim Wschodzie, osłaniając zaborczość Izraela i przejaskrawiając ekstremistyczne tendencje niektórych ugrupowań arabskich. Były jednak wyjątki. Reportaże Erica Rouleau zamieszczone w „Le Monde" pokazywały nieco niezafałszowanej prawdy o Izraelu, starannie ukrywanych faktów o jego rzeczywistości. Były one jedynym dostępnym w tym czasie obiektywnym dokumentem, jedynym świadectwem naocznego świadka, który nie mógł być posądzony o najmniejsze proarabskie sympatie, materiałem, który miał wszelkie dane ku temu, aby posłużyć do konfrontacji z sądami wypowiadanymi przez różnych adwokatów złej sprawy w rodzaju pana Ciołkosza. „Wolna Europa" ośmiesza się czyniąc mi zarzut, że do polemiki z nią użyłem świadectwa francuskiego reportażysty i burżuazyjnego pisma. Wydaje mi się, że to, iż kłamstwa burżuazyjnego polityka mogły być podważone przez burżuazyjne pismo najlepiej mówi o szytej grubymi niemi robocie „Wolnej Europy".

Wróćmy więc jeszcze do tej sprawy. „Wolna Europa" w swojej odpowiedzi twierdzi, że Ciołkosz w *bezstronny* i wnikliwy sposób *przedstawił prawdziwy obraz sytuacji na Bliskim Wschodzie*. Szkoda, że nie mam możliwości ze względu na brak miejsca przytoczenia jeszcze raz tych *bezstronnych* i wnikliwych argumentów pana Ciołkosza. Ale do niektórych warto powrócić.

Tym razem jest już więcej faktów: Izrael przestał się maskować, nie dba już więcej o to, co będą o nim mówili Ciołkosze, pokazuje więc, na co go stać. Ciołkosz i „Wolna Europa" mogą podawać w wątpliwość spostrzeżenia francuskiego dziennikarza, ale chyba nie zdobędą się na zaprzeczenie tego, co mówi premier Izraela, Eszkol, i jego minister wojny, Dajan, co robią żydowscy bankierzy z całego świata, co stwierdzają raporty lekarzy i co widać po tysiącach cywilnych ofiar izraelskiego barbarzyństwa, co wreszcie opisują naoczni świadkowie izraelskiej rzeczywistości.

Przypomnijmy jeszcze raz niektóre tylko „wnikliwe" stwierdzenia pana Ciołkosza:

Żydzi nie powracali do Izraela z mieczem w ręku. Osiedlali się z kielnią i młotem, pracowali i tworzyli. Nie jest prawdą, że kraj do którego przybyli był jednolity... Imperializmu żydowskiego nie ma i być nie może. Wystarczy rzucić okiem na mapę, aby zrozumieć, że państwo żydowskie nie ma najmniejszych danych na ujarzmienie krajów arabskich... I tak dalej w tym samym stylu. Tak mówił wczoraj pan Ciołkosz, a dziś Eszkol i Dajan twierdzą, że Kanał Sueski i zachodni brzeg Jordanu są naturalnymi granicami Izraela, generałowie izraelscy planują nowy skok swej armii na Kair i Damaszek, zaś w Jerozolimie zbierają się żydowscy bankierzy z całego świata, by radzić nad finansowaniem izraelskich zaborów.

„Wolna Europa" będzie się mowu zżymać na to, że w polemice z jej kłamstwami posługuję się świadectwem tych, którzy widzieli na własne oczy to, o czym mówią. Nic na to nie poradzę. Nie mogę sobie jednak odmówić sprawienia przykrości panu Ciołkoszowi i zapoznania go z opinią, jaką na temat izraelskiej kielni i młota ma bezpośredni świadek tych wydarzeń, zakonnik o. Paweł Gauthier, pracujący od 1958 r. w Izraelu.

Sposób, w jaki pojawili się pierwsi uchodźcy tej epoki — pisze o. Gauthier we włoskim czasopiśmie „Il Regno" o pierwszych latach żydowskiej kolonizacji — *oraz sposób, w jaki zostały zniszczone ich wioski, był punktem do tej pory niezbyt dobrze znanym i podawanym w wątpliwość. Z braku bezstronnych świadków Arabowie mówili: „Żydzi wyrzucili nas siłą". A Żydzi odpowiadali: „To armia arabska kazała wyjechać ludności arabskiej". Wojna rozpoczęta w czerwcu 1967 r. wyjaśnia ten problem. Nieliczni świadkowie, którzy pomimo surowych zakazów wydanych przez władze izraelskie, pasujące na tych terenach mogli zobaczyć to, co działo się w Qualqilya, czy w trzech wioskach znajdujących się koło Latroum, czy w innych dzielnicach Jerozolimy wiedzą doskonale, że armia izraelska siłą wydalała ludność rabując i równając z ziemią domy... Warunki ucieczki były takie same — zresztą doskonale znane jak wszystkich ucieczek. Niekończące się szeregi ludzi wzdłuż ulic, pogubione lub oszalałe ze strachu dzieci, kobiety rodzące na chodnikach ulic, głód i pragnienie, pogubieni lub umierający starcy...*

Adwokat Izraela, podobno socjalistyczny działacz, pan Ciołkosz nie zawahał się stwierdzić, że *zwyciężył żołnierz, który wiedział, że broni słusznej sprawy, że kampania izraelska z roku 1967 była pod każdym względem pouczająca, także pod względem militarnym, także pod względem związku zachodzącego pomiędzy stroną techniczną a stroną moralną wojny...*

Załóżmy, że 25 czerwca pan Ciołkosz mógł tak mówić nie wiedząc jeszcze, czego w rzeczywistości i jaki sposób bronił izraelski żołnierz. Ale „Wolna Europa" w dwa miesiące później, kiedy już dokładnie wiadomo, co wyprawiał ten żołnierz i jego dowódcy, podtrzymuje to wszystko, co Ciołkosz wtedy powiedział. Ślepota, czy naiwność, że jednak znajdą się w Polsce tacy, którzy w to uwierzą?

I znów muszę posłużyć się świadectwem kogoś, kto widział to na własne oczy. Naczelny redaktor austriackiego miesięcznika „Der Oesterreichische Standpunkt", Rudolf Wengraf, przejechał wzdłuż i

(Dokończenie na str. 12)

ZE WSPOMNIEŃ IWANA KONIEWA — MARSZAŁKA ZSRR (2)

O GALERII DREZDEŃSKIEJ POLEWOJU I FADIEJEWIE

PONIEWAŻ właśnie zdobyliśmy Drezno, a nazwa tego miasta nierozerwalnie związana jest ze światowej sławy Galerią Drezdeńską, opowiem tu o poszukiwaniach i uratowaniu tej skarbnicy.

W Dreźnie zastaliśmy straszliwe ruiny. Pod sam koniec wojny, bez jakiejkolwiek potrzeby strategicznej, miasto zostało zbombardowane przez lotnictwo anglo-amerykańskie. Kiedy ujrzeliśmy bezlitośnie zniszczone śródmieście, z miejsca zainteresowaliśmy się, gdzie i w jakim stanie znajduje się słynna Galeria Drezdeńska. Doszły mnie już słuchy, że skarby jej zostały gdzieś ukryte, a budynek galerii do tego stopnia zdruzgotany, że nawet nie można go rozpoznać. Że tak było rzeczywiście przekonałem się przejeżdżając przez miasto.

Nie będę przypisywał sobie jakiejś szczególnej zasługi w poszukiwaniu Galerii Drezdeńskiej, ale co mogłem zrobić — zrobiłem. Zainteresowałem się, czy w ogóle ktoś rozpoczął poszukiwania, kto to robi, i dowiedziałem się, że w zajmującej się zbieraniem trofeów brygadzie 5 armii gwardii służy malarz Rabinowicz, który z ogromnym entuzjazmem poszukuje obrazów. Natrafił on przy tym na ogromne trudności, należało mu więc dopomóc, a mianowicie przydzielić specjalną grupę oraz doświadczonych ludzi z organów rozpoznania.

Muszę stwierdzić, że L. N. Rabinowicz — w wojsku oficer brygady zajmującej się zbieraniem trofeów, a z wykształcenia malarz — rzeczywiście wykazał wiele energii i pomysłowości, rozplątując zagmatwany kłębek i coraz bardziej rozszerzając zasięg swoich poszukiwań. Pozwoliłem mu meldować o przebiegu pracy bezpośrednio mnie. Meldował regularnie, każdego dnia. W poszukiwaniach brało udział sporo ludzi, w tym grupa specjalistów z moskiewskim historykiem sztuki, Natalią Sokołowską, na czele — kobietą obdarzoną niezwykłą energią.

I oto pewnego dnia zjawił się u mnie na stanowisku dowodzenia promieniejący i niesłychanie przejęty Rabinowicz i zameldował, że skarby Galerii Drezdeńskiej znaleziono za Łabą, w szybach kamieniołomów. Dodał przy tym, że w tej chwili nie może jeszcze nic powiedzieć, w jakim stanie płótna się zachowały, ale obrazy tam są i widział je na własne oczy.

Natychmiast wsiadłem do samochodu i pojechałem do kamieniołomu. Jak dziś pamiętam widok, jaki roztoczył się przed naszymi oczami. Biegnąca w głąb kamieniołomu bocznica kolejowa, którą wywożono kamienie, jeszcze istniała, ale wyglądało to tak, jakby pracę tu już od dawna zarzucono. U wejścia do szybu stały, na wpół je zasłaniając, dwa zniszczone wagony. Wokół pustka. Tak jak by człowiek znalazł się w jakiejś mizernej, dawno opuszczonej zagrodzie chłopskiej. Wszystko porosło trawą i pokrzywami.

Nikomu nawet by do głowy nie przyszło, że ukryto tu coś cennego, a tym bardziej słynne płótna. Jako wojskowy muszę przyznać, że maskowanie było doskonałe. Absolutnie żadnych śladów, które mogłyby wywołać najmniejsze podejrzenie. Wewnątrz, za całym tym kamuflarzem, za tą pozorną pustką, znajdowały się jedne drzwi, dalej drugie, następnie światło elektryczne i nawet specjalne urządzenia do podtrzymywania wewnątrz sztolni określonej temperatury.

Było to coś w rodzaju dużej pieczary. Ci, którzy ukryli tu obrazy, przewidywali zapewne, że w tym kamiennym podziemiu będzie sucho. Ale niestety, miejscami sączyły się przez szpary wody gruntowe, temperatura powietrza wykazywała widocznie duże wahania, a urządzenia regulujące w chwili odnalezienia obrazów już nie działały.

Obrazy (a było ich w pieczarze około siedmiuset) zostały umieszczone w sposób dość chaotyczny. Niektóre owinięto papierem pergaminowym, inne zapakowano do skrzyń, jeszcze inne po prostu oparto o ściany. Przeszedłem przez całą pieczarę i po raz pierwszy zobaczyłem wiele arcydzieł malarstwa, które można teraz oglądać w salach odbudowanej Galerii Drezdeńskiej. Była tam również „Madonna Sykstyńska". Kilka minut stałem przed nią, wciąż jeszcze nie wierząc własnym oczom, że rzeczywiście ją odnaleźliśmy.

Niepokoiła mnie wilgoć i wody gruntowe. Jeszcze bardziej się przestraszyłem kiedy powiedziano mi, że saperzy wykryli w sztolni miny. Były one co prawda rozbrojone, ale przecież mogły znaleźć się jeszcze inne.

Kazałem natychmiast dodatkowo sprawdzić i wezwać batalion dla ochrony skarbów sztuki. Kilka godzin później do sztolni przybyli moskiewscy specjaliści z Natalią Sokołowską na czele i pod ich kierunkiem wszystko zostało przewiezione do jednej z letnich rezydencji królów saksońskich na przedmieściach Drezna. W tym ogromnym pałacu specjaliści suszyli obrazy i robili wszystko, co było niezbędne dla ich uratowania.

Wkrótce jednak okazało się, że i tu nie ich miejsce. W zniszczonym mieście nie sposób było zapewnić absolutnie pewnego i prawidłowego przechowania tej olbrzymiej i drogocennej kolekcji. Wysłano ją więc specjalnym pociągiem pod wzmocnioną ochroną i pod nadzorem specjalistów do Moskwy.

Ale dopóki obrazy znajdowały się w letnim pałacu drezdeńskim, ja i Iwan Jefimowicz Pietrow, nawiasem mówiąc wielki miłośnik i znawca malarstwa, przychodziliśmy je oglądać. Być może po wszystkim, cośmy przeżyli podczas czterech lat wojny, z jakimś szczególnym zadowoleniem i z radością patrzyłem na te na szczęście zachowane wielkie dzieła sztuki.

W tym okresie udzieliliśmy mieszkańcom Drezna ogromnej pomocy. Na skutek zmasowanych nalotów anglo-amerykańskiego lotnictwa ze śródmieścia pozostała kupa gruzów. Znany pisarz niemiecki, Gerhard Hauptman, oświadczył później: *Osobiście przeżyłem zagładę Drezna przy akompaniamencie huku angielskich i amerykańskich samolotów.*

Rozumieliśmy sytuację mieszkańców Drezna. Zniszczone zostały domy mieszkalne i linie tramwajowe, elektrownie i gazownie, wodociągi i kanalizacja.

Ruiny widzieliśmy nie po raz pierwszy. W pamięci naszej zachowały się zniszczone przez faszystowskiego okupanta miasta i wsie Rosji, Ukrainy i Białorusi, zdeptaną hitlerowskim butem ziemię polską. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to samo czekało również Moskwę i miasto Lenina. W żołnierzu radzieckim musiała zrodzić się chęć zemsty i święta nienawiść. Ale nigdy nie utożsamialiśmy narodu niemieckiego z kliką faszystowskich przestępców. Na zajętym przez nas terytorium Niemiec żołnierze radzieccy wykazali prawdziwy humanizm i szlachetność. Postawa naszych żołnierzy i oficerów w Dreźnie jest charakterystycznym tego przykładem.(...)

Kończąc relację o ostatniej operacji 1 Frontu Ukraińskiego, opowiem o korespondencie wojennym, który jako pierwszy dostał się do Pragi na samolocie łącznikowym i pierwszy napisał o jej wyzwoleniu, a przed tym przeszedł z wojskami 1 Frontu Ukraińskiego cały jego szlak bojowy. Był to Borys Nikołajewicz Polewoj.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się jeszcze na początku wojny we Froncie Kalinińskim. Później, poczynając od roku 1943, godnie reprezentował „Prawdę" we Froncie Stepowym, w 2 i 1 Froncie Ukraińskim.

Osobiście jestem zdania, że z największą znajomością rzeczy, najbardziej obiektywnie oświetlał on przebieg wydarzeń wojennych, których był świadkiem i uczestnikiem. Pisał o faktach z życia bojowego, faktach o zasadniczym znaczeniu wychowawczym. W jego korespondencjach można znaleźć dziesiątki autentycznych portretów bohaterów wojny. Ponadto zawsze wiedział o tym, co dzieje się na froncie, dysponował wszelkimi informacjami, których można mu było udzielić, uczestniczył w wydarzeniach na decydujących odcinkach i w czasie wojny przesłał do „Prawdy" sporo ciekawych uogólniających materiałów o największych operacjach Frontu.

Jego korespondencje świadczyły o znajomości rzeczy z punktu widzenia wojskowego, były utrzymywane w spokojnym tonie i pomagały nam w naszej niełatwej pracy. Niestety, inni dziennikarze i literaci nie mieli takiego daru pokazywania ludzi biorących udział w wojnie. Czytając ich korespondencje odnosiłem niekiedy wrażenie, jakbym na pierwszym planie widział koło jakiejś olbrzymiej maszyny, a gdzieś obok tego koła człowieka nie większego od mrówki. Koło to, oczywiście, ważny detal, zwłaszcza w takiej machinie jak wojna, najważniejszy jest jednak, również na wojnie, człowiek, który koło to wymyślił i który nim obraca.

Moim zdaniem literat, który nie stara się wyrazić piękna ludzkiej duszy — również podczas wojny — nie przynosi dużej korzyści radzieckiej prasie i jej czytelnikom, między innymi wojskowym.

Korespondencje Polewoja podobały mi się właśnie dlatego, że wkładał on w nie całą swoją duszę i szacunek do człowieka; pokochałem za to również jego książkę „Opowieść o prawdziwym człowieku", będącą jakby kontynuacją tego, co robił on na froncie.

Podczas ostatnich trzech lat wojny spotykałem się z Polewojem rzadko i na krótko; byłem stale zajęty. Przerwy w pracy dowódcy dużego Frontu są bardzo rzadkie. To na prawym, to na lewym skrzydle, to w środku, stale podejmowane są aktywne działania bojowe. To znów operacja lokalna albo przegrupowanie, albo polepszenie sytuacji. Nie mówię już o pracy podczas trwania poważnej operacji.

Niemniej jednak Polewoj, który dobrze znał, a nawet wyczuwał sytuację frontową, zawsze umiał znaleźć moment, kiedy można się było do mnie zwrócić po informacje dla prasy. Zawsze rad byłem rozmowie z nim, ponieważ wiedziałem, że spotkanie ze mną wykorzysta w interesie sprawy i napisze w prasie o tym co dzieje się na froncie, wiarogodnie, bez wypaczeń i własnego widzimisię.

Borys Nikołajewicz często bywał wśród wojsk, bez wahania jeździł i latał na najbardziej niebezpieczne odcinki, w porę chwytał wszystkie wydarzenia frontowe i odznaczał się pośród licznych zasługujących na uwagę przedstawicieli prasy radzieckiej, z którymi spotykałem się podczas wojny, chyba największą operatywnością. Słowo to pochodzi z naszej wojskowej terminologii i używam go jako w pełni zasłużoną pochwałę dla Polewoja. Operatywność przejawił on również w ostatnim dniu wojny: pierwszy spośród wszystkich korespondentów znalazł się w Pradze. (...)

Służbę wojskową rozpocząłem jeszcze w armii carskiej jako żołnierz-artylerzysta i zanim przeszedłem drogę od dowódcy pułku do dowódcy Frontu byłem podczas wojny domowej komisarzem brygady, potem komisarzem 2 dywizji kierchnieudinskiej na Zabajkalu, a następnie komisarzem 17 korpusu primorskiego na Dalekim Wschodzie. Tak więc kilka lat całkowicie poświęciłem pracy komisarza.

Zacząłem o tym mówić żeby przypomnieć pewnego ciekawego, a nawet wspaniałego człowieka, z którym zetknął mnie los w drodze na X Zjazd partii. Mam na myśli komisarza jednej z dalekowschodnich brygad partyzanckich, Aleksandra Bułygę, który zasłynął w całym kraju jako pisarz Aleksander Aleksandrowicz Fadiejew.

Armijne organizacje partyjne Dalekiego Wschodu wybrały nas wtedy delegatami na X zjazd partii i prawie przez cały miesiąc jechaliśmy razem z Czity do Moskwy w jednym przedziale, jedliśmy z jednego kociołka. Obaj byliśmy młodzi: ja kończyłem dwudziesty czwarty rok życia, on dwudziesty; czuliśmy do siebie sympatię i ufaliśmy sobie. Podobał mi się jego szczery, bezpośredni charakter i prostota, które usposabiały do bliskich i bezpośrednich stosunków koleżeńskich. Przyjaźń ta, nawiązana podczas długiej drogi przez Syberię, utrwaliła się na samym zjeździe.

Po informacji Lenina o trudnej sytuacji w Kronsztadzie — gdy wezwał on do skierowania części delegatów do oddziałów, które miały zlikwidować bunt w mieście, w celu ich wzmocnienia, Fadiejew i ja — nie umawiając się — podaliśmy do prezydium kartki, że gotowi jesteśmy pojechać tam jako ochotnicy.

Nie pamiętam już, czy z naszej dalekowschodniej delegacji jeszcze ktoś pojechał, w każdym razie pod Kronsztadem spotkałem tylko Fadiejewa.

Podczas zjazdu mieszkaliśmy w Trzecim Domu Rad. Nasze łóżka stały obok siebie. Po zgłoszeniu się pojechaliśmy do Piotrogrodu tym samym pociągiem. Nawiasem mówiąc był to pociąg Michaiła Wasilewicza Frunzego. W Piotrogrodzie rozdzielono delegatów na dwa kierunki: część na oranienburski, część zaś na siestrorecki. I znowu znaleźliśmy się z Fadiejewem razem — obaj trafiliśmy na kierunek siestrorecki. Również tam skierowano nas do jednej grupy, przygotowującej natarcie na forty Kronsztadu. Dopiero w tej grupie znaleźliśmy się w różnych pododdziałach. Fadiejew trafił do piechoty, ja jako były artylerzysta — do artylerii.

Sytuacja była trudna, rozmowy i nastroje bardzo różne, niektórzy kursanci nie chcieli nacierać, a artylerzyści — strzelać. Trzeba przyznać, że walka z wielkokalibrową artylerią twierdzy i ze zbuntowanymi mętami liniowców „Pietropawłowsk" i „Sewastopol" uzbrojonych w 12-calowe działa, była trudna. Ogień naszej artylerii polowej nie mógł, oczywiście, odnieść bezpośredniego skutku, ale efekty uboczne również były ważne. Nacierająca po lodzie piechota musiała odczuwać, że ma wsparcie Do szturmu na zbuntowaną twierdzę podciągnięto całą posiadaną artylerię polową, ogień jej miał przede wszystkim wspierać wojska, dopóki posuwały się one po lodzie Zatoki Fińskiej.

Punkt obserwacyjny naszej baterii znajdował się na cyplu Lisi Nos. Gdzieś koło Lisiego Nosa rozstaliśmy się z Fadiejewem, który przeszedł do piechoty jako szeregowiec — pracownik polityczny. Ja zaś pozostałem, również jako szeregowiec — pracownik polityczny, w tej samej baterii.

Natarcie było bardzo trudne. Śnieg na lodzie stopniał, po wierzchu stała woda, ale pod nią lód był jeszcze mocny. Ubrani w białe płaszcze rozpoczęliśmy natarcie w ciemnościach i mgle. Mimo to buntownicy wykryli nacierającą tyralierę piechoty i otworzyli do niej ogień zaporowy z fortów i okrętów. Kanonada dosłownie ogłuszała nas potęgą 12-calowych pocisków odłamkowych. Nawet na brzegu nie należy do przyjemności, kiedy łupnie taki kolos, pozostawiając lej, w którym zmieściłby się cały piętrowy dom — a cóż dopiero na lodzie.

Najtragiczniejsze było jednak nie to, że rozrywały się ciężkie pociski, lecz to, że każdy, niezależnie od tego, czy wyrządzał straty czy nie, robił przy upadku olbrzymi lej, który prawie natychmiast pokrywał się zbitymi kawałkami lodu i stawał się niewidoczny. W panującym mroku przy szybkich skokach pod ogniem żołnierze nasi coraz to wpadali do tych lejów i natychmiast szli na dno.

Tak więc wraz z Fadiejewem staliśmy się uczestnikami niebywałego w historii wojen wydarzenia, kiedy pierwszorzędna twierdza morska, broniona dodatkowo przez okręty liniowe, została zdobyta szturmem przez wojska lądowe.

Nie było to łatwe. Ale rewolucyjny entuzjazm był tak wielki, że wszyscy, dosłownie wszyscy — poczynając od kierującego operacją Tuchaczewskiego i osobiście uczestniczących w walkach Woroszyłowa i Dybienki do szeregowców, w tym i nas, pracowników politycznych, delegatów na zjazd — pałali jednym pragnieniem: jak najszybciej skończyć ze zbuntowanym Kronsztadem, zlikwidować ten bunt, niezwykle groźny w tym historycznym momencie dla całego Kraju Rad.

Nie widziałem Fadiejewa podczas walk. Każdego absorbowały własne sprawy i dopóki do końca nie wykonaliśmy zadania, dopóki nie oczyściliśmy Kronsztadu, ani ja, ani żaden z walczących nie byliśmy w stanie myśleć o czymkolwiek innym.

Po zdobyciu Kronsztadu, kiedy wróciłem na brzeg i trafiłem na stanowisko dowodzenia dywizjonu, dowiedziałem się, że delegatom na X zjazd kazano wrócić do Piotrogrodu. Nasza misja została zakończona.

W drodze do Moskwy dużo myślałem o tym, co niedawno przeżyłem i wydawało mi się, że skoro bunt został zdławiony to i wojna już się skończyła. Co prawda na Dalekim Wschodzie pozostawali jeszcze Japończycy i białogwardziści, ale nie chciało mi się już wracać do Kraju Przymorskiego: uważałem że się nawojowałem, swoje zrobiłem i mam prawo prosić o cywilną pokojową pracę.

To właśnie powiedziałem w KC. Ale nie przyznano mi racji: *Nie, drogi towarzyszu, idziecie do dyspozycji PUR, a PUR zadecyduje dokąd i w jakim charakterze pojedziecie.*

PUR zadecydował, i w ten sposób na całe życie pozostałem w armii.

Po powrocie z KC do Trzeciego Domu Rad zobaczyłem, że delegaci, uczestnicy akcji kronsztadzkiej, jeszcze nie wyjechali. Zjazd zakoń-

(Dokończenie na str. 8)

Rok 1958. I. Koniew z wizytą u M. Spychalskiego

PRZEKŁADY Z POEZJI RADZIECKIEJ

Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

PAWEŁ TYCZYNA

I będzie tak...

I będzie tak —
Ślepi: gdzież to niebo — nie zobaczę?
Głusi: prawdę usłyszeć mi zwól!
Kaleki: płaczę,
To krzyczy mój ból.

I będzie tak —
Rozbije śmiechem ktoś niebo zmyślone.
I wstanie nowy świat i człowiek tak jak bóg.
I poprzez wszystkich pól zagony —
Za pługiem pług...

Popatrzała jasno...

Popatrzała jasno, — zaśpiewały skrzypce! —
Pożegnała czule, — w duszy, w duszy mej. —
Las posępny milczał, czarny akord smutku.
Zaśpiewały skrzypce w duszy, w duszy mej!

Wiem, ach, wiem: na wieki, — lśnią
promienie — rzęsy! —
Nie zobaczę więcej, — tych słonecznych
ócz —
Będę wciąż samotny, czarny akord smutku.
Lśnią promienie — rzęsy twych słonecznych
ócz!

STIEPAN SZCZYPACZOW

* * *

Ciężko mi widzieć oczy chuligana
nad szklanką piwa, z której leci piana.

Jak się mężczyzną śmie taki nazywać!
On umie bić kobietę.
Z ust jego wciąż się „taka mać" wyrywa.

Czy po to kiedyś matka
mówiła mu: Mój synku miły —
lub innym czułym przemawiała słowem,
piersią karmiła, hołubiła,
uczyła go rosyjskiej mowy?

* * *

Strugamy zwrotki od rana do nocy,
nikogo naglić do tego nie trzeba.
I rosną, rosną wierszy całe stosy,
od których nawet piec się nie rozgrzewa.

Dymią i syczą... Może zbyt surowy
sąd mój, bo jednak każdy ma nadzieję,
że ktoś tam, ktoś tam niby atom — słowo
nagle rozszczepi i świat nim ogrzeje.

Krew

Z religii nieraz dwójki brałem,
ucząc się jej najsłabiej,
lecz jedno z niej zapamiętałem:
że Kain Abla zabił.

Wciąż wojny, wojny. Podnieść głowy
z rozpaczy sił nie mając, kobiety ryczały.
A w muzeach topory i miecze stalowe
od krwi zapewne rdzewiały.

Na smutnej ziemi
już od wieków
śmierć drapieżne kły szczerzyła śmiało
i krew kapała z bagnetów,
z jasnych szabel ściekała.

I gdyby przelaną przez wieki
dzisiaj krew zebrać by wszystką,
rozmyłaby wszędzie brzegi,
góry zgarnęła w swe otchłisko.

Wojna i teraz nieci gdzieś pożary.
Nie będzie człowiek na ziemi spokojny,
póki jeszcze żyje świat stary
i trzyma pod pachą wojny.

ALEKSANDER GATOW

* * *

Pokój!
Ulegnie zapomnieniu stare słowo „wróg".
Ni gróźb, ni wojen, ni ludzi bezdomnych,
Co utracili swój rodzinny próg.

Pokój!
Wiosenne dobre słowo.
Granat nieba,
Dźwięki symfonii nowej
I miłość!
...Jam z tobą razem i w lesie, co płonie,
Ja cię przed ogniem i zwierzem osłonię!
Jam z tobą!...
Mgło wojenna, opadnij nam w końcu!
Witaj, ero pokoju, miłości i słońca!

Do młodych, co kroczą w życie

Iluzji szczęścia nie szukaj w spokoju
I ucz się panem być swojego losu.
Czeka go ognia chrzest w życiowym boju.
Walcz z mikrobami!
Sięgaj w głąb kosmosu!

Odważni, naprzód! Bądź więc razem z nimi
Sługą ojczyzny i ludzkiego rodu,
Bowiem najdroższym jest skarbem
na ziemi —
Pozostać w dobrej pamięci narodu.

Pytanie prawie serio

Lekarze mają różnych spraw niemało.
A jak by można było poznać prawdę całą
O fałszu, co się w uśmiech miłych oczu
wkradł?
Gdzie jest taki „izotop", co by sercom
pomógł
Usunąć podejrzenia w ciężkiej chwili czas
Albo też twardą prawdą by wyleczył nas?
O to właśnie zapytać pragnąłbym uczonych...

MAKSIM TANK

* * *

Zrazu usiłowałem
myśl swoją ozdobić
jak dzikus
grzechotkami,
paciorkami,
szychem —
starym i zleżałym,
dawno przebrzmiałym rekwizytem.
Jakby zachód i trawy
potrzebowały sztucznych kolorów,
jakby grzmot potrzebował
bębnów i litaurów!
Szkoda mi dzisiaj czasu
roztrwonionego lekkomyślnie.

Dziś staram się zapomnieć
obrazy wieku kamiennego,
w którym się urodziłem;
obrazy wieku brązowego,
w którym się chrzciłem,
i bogów wieku żelaznego,
z którymi nieraz spór wiodłem,
aby w naszym stuleciu
lotów kosmicznych
wierszowi nadać
surowy kształt rakiety
i wprowadzić go bezbłędnie
na trasę do serca.

GEWORG EMIN (Armenia)

* * *

Już dosyć mam.
Nie mogę więcej!
Za cóż mnie nęka taka boleść?
Miłość już hen,
a męczy, męczy,
Jakby nie mogła wcale odejść.
Miłości,
mścisz się za swą stratę!
Podobnie bywa, gdy żołnierza
W nocy po wielu, wielu latach
Boli ta ręka,
której nie ma.

MICHAŁ KWLIWIDZE (Gruzja)

Od tamtego czasu

Ile płatków od tamtego czasu,
ile kropli spłynęło,
ile małych śnieżynek na śniegu,
ile plamek w kamień się wcisnęło,
który leży na morskim brzegu,
ile razy deszcz rynsztoki żłobił,
ile razy wiaterek ten wionął —
tyle razy myślałem o tobie,
tyle razy pomyślałem: ona.

Zdrada

Tak ponuro niewierność w miłości,
tak jest groźnie nazywana zdradą
stąd — że miłość to tajemny związek,
to jest spisek dwojga przeciw wszystkim.

EUGENIUSZ WINOKUROW

Poeta bywał żebrakiem i królem

Poeta bywał żebrakiem i królem,
Włóczęga morski, tonął nieraz w morzu,
Uchaty skryba, poskrzypywał piórem
Smutnie zgarbiony aż po noc w kantorze.

Za kradzież go wieszano jak Villona,
Dworak w pierożku, cmokał na paradzie
Rączkę wytwornej Fräulein rozrzewniony
I z pieśnią walcząc marł na barykadzie.

Ślepiec szedł rynkiem. Gęśle. Długa broda.
Na koniu pędził pośród gór Kaukazu.
Tak czy inaczej — nigdy się nie poddał,
W niczym nie zdradził siebie ani razu.

WŁODZIMIERZ SOŁOUCHIN

Jabłko

Jestem pewien, że Newton
To jabłko, które mu odkryło
Prawo ciążenia ziemi,
Że on to jabłko
Ostatecznie zjadł.
To jabłko — dziecię i Ziemi i Słońca —
Urodziło się,
Wyrosło z zalążka,
Dojrzało
(A przedtem pszczoły przyleciały,
I padał deszcz, i dmuchał ciepły wiatr)
Nie tyle po to, żeby ono spadło
Udowadniając ruchem w linii prostej
Że grawitacja istnieje naprawdę,
Lecz głównie po to, by stało się słodkie
I piękne, i soczyste, i duże, i krągłe,
By ludzie zachwyceni wpół je przełamali
I poczuli aromat,
I zaznali jego słodyczy
Wrażliwymi ludzkimi ustami.

NOWELLA MATWIEJEWA

Błędny ognik

O ty mój ogniku błędny,
Zdrajco ślący błyski,
Wszystkich kępek błotnych bracie,
Druhu krzyży wszystkich.

Przerwij już ten błędny taniec,
Mglisty oszukańcze!
Jeśli świecić twym zadaniem,
Porzuć te łamańce.

Jeśli twym zadaniem — błądzić,
Przerwij to świecenie.
Co za pomysł: ludzi zwodzić
I to jak? Promieniem!

O ty mój ogniku błędny,
Chytry, bladolicy,
Ileś ty wędrowców zgubił!
Ile ekspedycji!

Ilu tych, co szli tym szlakiem,
Przedtem tak dostępnym!
Nie wstyd ci tak figle płatać,
Mój ogniku błędny.

Być latarnią z zimnym błyskiem
W noc dla ócz gorących!
I być ślepym przewodnikiem —
Proszę! — dla widzących.

Dziwny pielgrzym jest bez drogi,
Straszny szlak bez celu.
Powiedz mi, ogniku błędny,
Czymżeś, kusicielu!

RIMMA KAZAKOWA

* * *

Obejmują się konie niezdarnie,
obejmować się trudno bez rąk im.
Ale konie czują smak przyjaźni,
rozumieją też boleść rozłąki.

Stoją konie na rosistej łące,
Słońce, cisza i wokół świat goły.
Nie pytają się o nic milczące
kładąc jeden na drugim swe głowy.

TAMARA ŻYRMUŃSKA

Goście

Goście!
Przygotowałam dla was
niemożliwe potrawy.
Jak do giemzowych rękawiczek
po łokieć ręce w mąkę pchałam.
Rozbieraj się, Klaso Robotnicza!
Zrzucaj odzienie, Chłopstwo!
Zdejmuj, Inteligencjo,
wiatrem podszyte palto!
Chce mi się dziś wam powiedzieć
coś, co nie jest toastem.
Czy wiecie, o czym myślałam
kładąc się nocą do łóżka?
Myślałam o chorobie
„całkowita samotność"
i o ciężkim powietrzu
w domu, gdzie nie ma gości.
Zezwala się na wszystko:
wytańcowujcie
choćby i lipsi, choćby bugi-wugi,
wyciągajcie z regału książki
i nie kładźcie ich na swoje miejsce.
Czemu się kwasisz tak, Inteligencjo!
Chłopstwo, wyłaź z kąta!
Weź kierownictwo w swoje ręce,
miła nam Klaso Robotnicza.
Możecie tu wygłaszać
najbardziej krańcowe zdania
czy o istocie antyświata,
czy o szczoteczkach do rzęs.
A mnie pozwólcie jedynie
rozwiązywać w pamięci równanie,
czy liczba moich widelców
równa się liczbie zaproszonych osób.
Znamy się wszyscy od dawna:
ze szkoły, z wakacji i z praktyk.
Zdobywaliśmy razem niedawno
pierwszą i drugą linię.
Chłopstwo, próbować sardynki —
złowione w Atlantyku.
Napychaj się, Klaso Robotnicza.
Inteligencjo, jedz.

50 LAT LITERATURY RADZIECKIEJ

Odpowiedź bez odpowiedzi

JÓZEF RATAJCZAK

PYTANIA skierowane w ankiecie „Kameny" wydają mi się ryzykowne i właściwie nie można odpowiedzieć na nie w sposób odpowiedzialny (maksymalnie na 4 stronach maszynopisu, jak to zastrzegli sobie organizatorzy), przyjmując w całej rozciągłości problemy tutaj postawione. Określić bowiem jakiekolwiek zjawisko literackie, zwłaszcza dużej miary (a o takie przecież tutaj chodzi) i usytuować je w kulturze współczesnej (wskazując zarazem na przyczyny tej doniosłej pozycji) znaczyłoby zabrnąć po prostu z kretesem w rozległe studia analityczno-komparatystyczne, do których nie czuję się w tej chwili przygotowany.

Podobnie rzecz się ma z wpływem określonego zjawiska na własne poszukiwania ideowo-artystyczne.

Toteż nic dziwnego, że pytania te zostały czym prędzej obudowane przez organizatorów wyjaśnieniami, które jednak wbrew oczekiwaniom zamiast ograniczać i precyzować problemy, jeszcze bardziej je rozszerzają i komplikują.

„Idzie o to, — piszą organizatorzy w swoim zaproszeniu — *co w tej literaturze, zdaniem Pana, rozszerza współczesną wiedzę o człowieku i jego epoce (poszerza wiedzę o doświadczeniu wewnętrznym i zewnętrznym jednostki oraz społeczeństwa) a równocześnie o to, jakie wg. Pana wartości literatury radzieckiej posuwają naprzód rozwój współczesnych form artystycznych".*

W takiej sytuacji, pragnąc w ogóle skorzystać z zaproszenia, muszę z miejsca zastrzec, że nie będę formułował oczekiwanej odpowiedzi, natomiast, wymijając pytania ankiety, zacznę od postawienia sobie pytań znacznie skromniejszych, węższych, które być może w zręczniejszy sposób zaprowadzą również do tego samego celu.

„Jakie zjawisko w literaturze radzieckiej budziło lub budzi najżywsze zainteresowania? Jaką cechę uważać należy w tej literaturze za dominującą bądź najbardziej wartościową?".

Przede wszystkim muszę od razu przyznać, że w moich przypadkowych, choć dosyć systematycznych kontaktach z literaturą radziecką, towarzyszy mi wzrastające w miarę upływu czasu i kolejnych wtajemniczeń poczucie całkowitego zaskoczenia i bezradności. Ogromny obszar (także geograficzny) i wielonarodowość tej literatury (a ściśle — literatur), których nie wolno wszak sprowadzać do literatury rosyjskiej, i co się z tym wiąże — ich potencjalne i niewyczerpane bogactwo, rozmaitość, barwność, zaskakujące raz po raz niesłychanymi niespodziankami musi porazić każdego śmiałka, a może nawet — zniechęcić. Z góry skazani bowiem jesteśmy na wyrywki, na przypadek, na fragmenty, które mogą akurat odpaść z fasady (bo najbardziej na wierzchu) lecz nie — z fundamentów.

Brak przecież wypróbowanych przyjaciół, po owym gąszczu zagadnień i zjawisk: krytyków, uczonych, informatorów, tłumaczy. Wiadomo, że nie jest u nas pod tym względem najlepiej. Ilu posiadamy świetnie przygotowanych rusycystów? Ilu z nich zajmuje się popularyzowaniem zagadnień związanych z aktualnym życiem literackim Kraju Rad? Ilu wśród tych piór jest piór znakomitych? Znających? Jedna ręka starczy, aby ich policzyć. A jedna ręka to stanowczo za mało, kiedy trzeba by pisać oburącz i jeszcze byłby powód do narzekań na kardynalne braki. I przeoczenia.

Podobnie rzecz się ma z tłumaczami. Stara kadra się wykrusza, a młodych, szczególnie tych, którzy chcieliby wiązać własną pracę pisarską z pracą przekładową, nie przybywa. Toteż coraz więcej przekładów przeciętnych, coraz mniej znakomitych, wybitnych, mimo iż tylko takie przekłady potrafią zarówno informować, co porywać, pełniąc rolę podobną do transfuzji cudzej krwi we własną, narodową literaturę.

Z tłumaczami jest zresztą sprawa bardziej skomplikowana. W poznawaniu literatury radzieckiej zależymy wszak zarówno od tłumaczy polskich (tłumacz, jak wiadomo, kształtuje i czytelnika i drugiego tłumacza) jak też od tłumaczy rosyjskich (kto w Polsce tłumaczy bezpośrednio z jakże licznych języków republikańskich i różnych radzieckich grup etnicznych?). Ta dwustopniowość, konieczna i logiczna, nie jest jednak ani wygodna ani bezpieczna. Im więcej pośredników pomiędzy oryginałem i czytelnikiem, tym mniej walorów oryginału ma szanse na przetrwanie. To jeden wzgląd. A drugi, że nazbyt wiele w takich wypadkach zależy od gustów i przyzwyczajeń pośredników — zawsze bardziej czułych na zjawiska bliskie, pokrewne, niż na różnice. Stąd też do literatury rosyjskiej trafia najczęściej z innych literatur narodowych to, co już opatrzone, ustalone, bądź to, co powstało pod wyraźnymi auspicjami klasyki rosyjskiej. W ten sposób koło się zamyka. Tłumacze sięgają do obcych literatur po „swoje", a to, co obce, żłobiące oryginalne, odrębne koryta może zostać nie zauważone lub zwyczajnie pominięte. Czy odkrylibyśmy w ten sposób, na przykład, niezwykle intrygującego poetę kazachskiego Ołżasa Sulejmenowa, gdyby nie pisał również po rosyjsku, a Gruzina Otara Cziladze, Miche Kwiiwidzę? Albo, żeby pozostać już tylko przy poezji i to ostatnich lat — dwujęzycznego, zaskakującego swoim talentem Czuwasza Gennadija Ajgi?

Ale i w samej literaturze rosyjskiej, najbliższej nam bezsprzecznie i penetrowanej od dziesięcioleci, nie brak, rzecz jasna, zjawisk utajonych, które mogą dojść do głosu całkiem niespodziewanie i potrafią nagle odsłonić nieznane, fascynujące lądy. Jeśli trzeba by konieczne dawać przykłady, wskazałbym Sołżenicyna (w prozie) czy Brodskiego (w poezji), choć myślę nie tyle o nazwiskach, co o zjawisku. Ciągle jeszcze dochodzi bowiem do nas (podobnie jak do czytelnika radzieckiego) zarówno literatura lat dwudziestych, jak i te dzieła, które z różnych względów nie mogły się przedtem ukazać. Nie sądzę, aby proces ten, dzięki któremu w orbitę literatury weszło ponownie wiele książek i nazwisk (Izaak Babel, Artiom Wiesioły), Michaił Kolcow, Iwan Sznielow, Aleksander Małyszkin, Andrzej Płatonow, Jurij Olesza, Michaił Bułgakow i inni, oraz cała falanga poetów takich jak Maryna Cwietajewa, Sasza Czorny, Osip Mandelsztam, Siergiej Tretjakow, Michaił Kuzmin, Mykoła Chwylowy...) był już na wyczerpaniu.

A zatem pora odpowiedzieć wreszcie na postawione wyżej pytanie: najciekawsze zjawiska to te, które nie zdołały się jeszcze do końca zarysować, mimo iż łatwo już je przeczuć i nazwać. Stąd w owych białych plamach, które dzisiaj, jutro, mogą wybuchnąć i zaowocować w polszczyźnie upatruję wartość najwyższą tej literatury, której niesłychana moc i bogactwo pozwala ginąć nawet niektórym nurtom, aby mogły się odrodzić ponownie i zaskoczyć przyszłość.

A pytanie drugie? O najważniejsze i najcenniejsze cechy tej literatury?

Przyznam, że istnieje wiele powodów, dla których pisarz polski może nabawić się kompleksów w stosunku do radzieckich kolegów. Chodzi nie tylko o sytuację materialną samych pisarzy, ale o sprawę istotniejszą — o społeczne warunki życia i funkcjonowania literatury. Sprawdzianem tego są wysokie nakłady książek, dochodzące wręcz cyfr astronomicznych, wieczory autorskie przypominające wiece, co za tym idzie — duża popularność pisarza, stojącego tuż poza piecami sportowców i filmowych gwiazd. Nie muszę bodaj dodawać, że miejsce trybuna, choć wysoce zobowiązujące i honorowe, ma również swoje niedogodności, ale bodaj lepiej być kształtowanym przez „zamówienie społeczne" niż celować w próżnię i znacznie zręczniej ulegać gustom powszechnym (chociażby niezbyt wyrobionym) niż trzymać się za poły zdezorientowanych krytyków.

„Naród, który słucha pieśni — gości w niej bowiem i śle poetom swoich bohaterów!" Ten romantyczny okrzyk sprawdza się nadal w literaturze radzieckiej od pierwszych lat rewolucji i nie sądzę, aby rychło przestał obowiązywać. Jest zresztą od początku uzupełniany pokrewną formułą, zgodnie z którą samo życie, los, historia, owa symboliczna „droga przez mękę" przekształca bohaterów — w twórców.

Toteż rewolucji społecznej towarzyszyła tutaj równie dynamiczna i brzemienna w skutki rewolucja w sztuce. Żaden bardziej znamienny fakt, żadne wydarzenie nie przeszło potem obok. Nawet lata ciszy były znamienne i, jak wiado-

(Dokończenie na str. 13)

Na początku była poezja...

(Dokończenie ze str. 1)

Czytałem niedawno wypowiedź jednego z naszych czołowych przedstawicieli ruchu wydawniczego. Zapytany o literaturę radziecką, odpowiedział (cytuję z pamięci), że nie chodzi o proporcje, lecz o to by na język polski przekładać utwory najlepsze i najbardziej charakterystyczne, albowiem oznaczać to będzie również wielką przysługę dla kultury polskiej. Bardzo to słuszne i chciałbym tylko dodać, że będzie to również przysługa dla rozwoju naszej ogólnej świadomości. Są książki z charakterem i bez charakteru (choć często bardzo piękne i co gorsza fascynujące). Wielu pisarzy radzieckich napisało książki z charakterem a przy tym nie pozbawiło ich swoistej urody. Te cenię w literaturze radzieckiej najbardziej.

Ale im staję się starszy, tym chętniej wracam do wierszy, znam ich wiele na pamięć i kiedy przed trzema laty u Polewoja zobaczyłem Achmadulinę (obcisłe spodnie i odurzająca barwa swetra), chciałem ją zatrzymać i pobłagać: *Bello, powiedz swój wiersz!...* Ale wyglądałoby to na nieprzystojne podrywanie, toteż spełniliśmy tylko z Polewojem toast na cześć poezji radzieckiej. Tak to już u starszych ludzi bywa, że ostatnich sączonych kropli nie żałują nawet poezji...

Wilhelm Szewczyk

Niedościgniony wizjoner w liryce

JAN BOLESŁAW OZÓG

Z DWU wielkich poetów rewolucji rosyjskiej, za jakich na pewno mogą uchodzić Majakowski i Jesienin, zawsze więcej lubiłem tego drugiego.

Już za swoich lat gimnazjalnych wiedziałem o Jesieninie wszystko, co trzeba. Że urodził się na wsi (w guberni riazańskiej), że jako chłopak wykradał z cerkiewnej skarbonki kopiejki, że miał dziadka, który mu tęgie za to spuszczał baty, że potem bardzo się podobały jego wiersze córkom cara, za to, że są beznadziejnie smutne. Tłumaczył im jednego razu przy jakiejś okazji powód tego. To — mówił — cała rosyjska wieś jest taka smutna. To wszystko wiedziałem z dowcipnej i bardzo lakonicznej jego autobiografii, wyczytanej w „Wiadomościach Literackich" z r. 1926 (w tłumaczeniu chyba Broniewskiego).

Nie bez znaczenia była dla takiego jak ja wtedy chłopca, który interesować się zaczął poezją, świadomość, że był to niezwykle urodziwy, choć dość niski wzrostem, mężczyzna. Znałem jego podobiznę z reprodukcji fotograficznych. Fascynowała mnie jego czupryna, opadające kosmykami na czoło włosy, o których wiedziałem, że były koloru platynowego i podobnie jak jego piękne wielkie oczy urzekały zawsze kobiety z wielkiego świata. Wiedziałem, że uwielbiano go zarówno za wiersze, jak i wiejską nieśmiałość, zaskoczył mnie tylko tragiczny koniec poety. Śmierci samobójczej, którą popełnił w r. 1925 wieszając się na sznurze w jakimś moskiewskim hotelu, nie potrafiłem wtedy zrozumieć.

Wiersze Jesienina i mnie się podobały. Ba, oczarowały mnie od razu. Pierwszy już jego utwór „Tabun", na jaki się natknąłem w antologii A. Gallińskiego „Poezja Polski Odrodzonej", oszołomił mnie, młodego lekkoducha, do tego stopnia, że przez wiele dni chodziłem jak nieprzytomny. Błądziłem w marzeniach wciąż po bezbrzeżnych łąkach stepowych z dzikimi końmi i przypominały się mi łąki z mojej wsi rodzinnej i konie pasane kiedyś nocą z dzikimi chłopakami. Wiersze Jesienina nie przypominały żadnych innych, które już znałem. Były czystą liryką, pachniały najwonniejszymi kwiatami, budziły żal i tęsknotę za czymś nieskończenie pięknym i pierwotnym, jak dzieciństwo, co już nigdy nie wróci.

Czytałem potem w „Wiadomościach Literackich", „Kurierze Literacko-Naukowym" i innych pismach wiersze Jesienina takie, jak „Pantokrator", „Pieśni, pieśni, o czym krzyczycie", „Gdy droga o czerwonych śni wieczorach" czy „Pieśń o psie" (w przekładach Broniewskiego, Lauterbacha i K. A. Jaworskiego) i fascynacja nimi rosła we mnie do rozmiarów wprost kosmicznych. Oczarowywała mnie plastyka, w niesamowitych skrótach, skojarzeniach nie spotykanych dotychczas, zapoczątkowanych w sposób genialny tzw. metaforą dopełniaczową, osiągana uroda świata. Jesienin kojarzył uniwersalia i wszechświat z konkretami przyrody i życia gospodarskiego na wsi.

Ale siność równinna nie leczy,
Mamże strząsnąć was,
pieśni skrzydlate?
Pozłocistą miotełką wieczór
Moją równą drogę omiata...

lub:

Gdy droga o czerwonych
śni wieczorach,
Ciemniejszy od mgły mroku
jest wrzosów mroczny lęk.
Staruszka chata,
znużona już i chora,
Przeżuwa senną ciszę
progami startych szczęk...

Drżącymi od wzruszenia rękami wklejałem wycinki z poezjami Jesienina do podręcznej własnej antologii najpiękniejszych wierszy, powtarzałem je w pamięci, urzeczony ich niesamowitym wdziękiem, a potem musiałem — już na to nijak nie można było poradzić — sam pisać.

Oczywiście inaczej. Ale także o wsi i uniwersaliach. A gdy znalazłem się w seminarium duchownym, jednego z kolegów-alumnów o jasnych włosach brałem zawsze za boskiego Siergieja... Nie kradłem, jak Siergiej, kopiejek w cerkwi ani groszaków w katedrze przemyskiej, ale koniec końców biskupowi, jak Siergiej dziadkowi, wypłatałem niejednego figla i potem uciekłem na... uniwersytet. A następnie pisałem także jak autor „Pugaczowa" wiersze z ornatami i na pół bluźniercze, na pół rozpaczliwe. Czy także z takich powodów jak on? Trudno na to odpowiedzieć jednym zdaniem.

Jesienin służył kiedyś także innym polskim autentystom za wzór jako niedościgniony wizjoner w liryce. Fascynowali się jego poezją Piętak, Czernik, Janczarski i Frasik.

Nie brak poetów, którzy — jak Majakowski, Chlebnikow, Gumilow czy Pasternak — wnieśli po rewolucji politycznej i społecznej nowy ferment do poezji rosyjskiej przyczyniając się do przewrotu literackiego i odrodzenia poezji na terenie całego ZSRR. Wśród nazwisk tych, które znaczą równocześnie i w literaturze powszechnej tyle, co Rimbaud, Apollinaire, Jacob czy Aluard, nazwisko Jesienina jaśnieje mocno i wyraziście, tak wyraziście, jak na cmentarzu wagańkowskim w Moskwie jego złoty wielki medalion mogilny, błyszczący z marmurowego postumentu z daleka poprzez drzewa zielone i literackie nagrobki.

Leningrad. Admiralicja. Fot. Danuta B. Łomaczewska

Polacy, uczestnicy Wielkiej Rewolucji

LIDIA KALESTYŃSKA

PRZED 50 laty lud rosyjski prowadzony przez Komunistyczną Partię Bolszewików (SDPRR(b) przeprowadził pierwszą na świecie rewolucję socjalistyczną. Jest rzeczą niewątpliwą, że zwycięska rewolucja socjalistyczna dokonana w październiku (listopadzie) 1917 r. w Rosji zapoczątkowała nową erę w rozwoju ludzkości — epokę komunizmu. I w tym zawarta jest jej nieprzemijająca wartość ogólnoludzka.

Tomy napisano o jej przebiegu, roli i znaczeniu. Są wśród nich głosy pełne zachwytu, są krytyczne, a nawet pełne nienawiści. Jednak stosunkowo niewielką uwagę poświęcono popularyzacji postaci szeregowych bojowników rewolucji, którzy ją przeprowadzili, przelewali krew i nierzadko składali w walce o zwycięstwo idei socjalizmu — swe życie. Wśród tych, którzy brali aktywny udział w Rewolucji Październikowej, w obronie młodej Republiki Radzieckiej w okresie wojny domowej i uczestniczyli w budowie zrębów nowo powstałej państwowości radzieckiej nie zabrakło i Polaków, jak zawsze walczących wszędzie tam, gdzie chodziło o postęp i wolność.

W owym czasie na terytorium Rosji, według szacunkowych obliczeń, znajdowało się około 2,5 do 3 milionów Polaków. Kim byli ci ludzie? Z jakich środowisk się wywodzili? Najliczniejszą grupę — ponad 1,5 miliona — stanowili przesiedleńcy z terenu Królestwa Polskiego, głównie robotnicy wielkich zakładów przemysłowych, ewakuowanych przez władze carskie w głąb Rosji przed nacierającymi wojskami niemieckimi i kolejarze. Uchodźcy z własnej woli i Polacy wysiedleni z terenów przyfrontowych stanowili zaledwie kilkadziesiąt tysięcy osób. Ponadto w armii rosyjskiej w służbie czynnej było ok. 600 tysięcy Polaków. Oprócz wymienionych grup ludności polskiej na terytorium Rosji znajdowali się również Polacy — jeńcy wojenni z armii austriackiej oraz niemieckiej, byli więźniowie carscy i zesłańcy, młodzież polska studiująca na wyższych uczelniach Piotrogrodu, Moskwy, Kijowa i innych miast, jak i tzw. stara emigracja — Polacy, którzy w różnych okresach i z różnych przyczyn opuścili Królestwo Polskie i przenieśli się do Rosji.

Oczywiście nie wszyscy Polacy, którzy znajdowali się na terytorium Rosji, poparli czynnie Rewolucję Październikową. Dziś z pewnością można mniemać, że wówczas liczba Polaków, którzy aktywnie włączyli się do walki rewolucyjnej, mieściła się w granicach kilkunastu dziesiątków tysięcy. Poszukiwania archiwalne dokumentów o najaktywniejszych rewolucjonistach polskich, prowadzone od końca 1964 r. w Związku Radzieckim i w Polsce przez zespół pracowników Zakładu Historii Partii przy KC PZPR w składzie dr Lidia Kalestyńska, dr Aleksander Kochański (kierownik zespołu) i mgr Wiesława Toporowicz, uwieńczył znaczny sukces. Zgromadzono 7678 biografii i krótkich not biograficznych Polaków — uczestników Rewolucji Październikowej i wojny domowej w ZSRR, które wkrótce ukażą się w postaci obszernego zbioru na półkach księgarskich w „Księdze Polaków — uczestników Rewolucji Październikowej (1917—1920)". Stosunkowo krótki okres przeznaczony na prace poszukiwawcze ograniczył liczbę nazwisk przywróconych pamięci ludzkiej. Wydaje się, że dalsze poszukiwania w archiwach radzieckich doprowadziłyby prawdopodobnie do zwiększenia naszej wiedzy o liczbie Polaków aktywnie uczestniczących w walkach o władzę rad w Rosji do ok. 50 tysięcy osób. Należy się spodziewać, że badania te będą kontynuowane w niedalekiej przyszłości.

Spośród 7678 biografii i not biograficznych zamieszczonych w „Księdze Polaków..." tylko w 2396 przypadkach podane jest miejsce urodzenia. Pozwala to na wyodrębnienie tych Polaków, którzy wywodzą się z województwa białostockiego (162 osoby), kieleckiego (153 osoby), lubelskiego (238 osób), rzeszowskiego (20 osób). Łącznie z czterech wymienionych województw uczestniczyły w walce rewolucyjnej w Rosji 573 osoby (na 2396), co stanowi około 24 proc. osób z określonym miejscem urodzenia. Na tej podstawie należy przypuszczać, że taki był procentowy udział Polaków pochodzących z czterech wymienionych województw w stosunku do ogólnej liczby Polaków walczących o zwycięstwo władzy rad w Rosji.

Spośród przebadanych owych 573 osób, uczestników Rewolucji Październikowej i wojny domowej, mężczyzn było 556 (97,1 proc.), a kobiet 17 (2,9 proc.). Mały stosunkowo udział kobiet wynikał zapewne stąd, że po odejściu mężczyzn na front, w zasadzie podstawowych żywicieli rodzin, na nie spadł ciężar utrzymywania dzieci; poza tym musiały one zastąpić mężczyzn przy warsztatach pracy. Ale przecież i praca produkcyjna była również swoistym frontem walki, bez którego niemożliwe byłoby osiągnięcie zwycięstwa nad wrogami zewnętrznymi i przeciwnikami wewnętrznymi.

Kim byli ci bojownicy? Z jakim zasobem doświadczenia politycznego przystępowali do walki po stronie rewolucji? Przed lutym 1917 r. do Związku Robotników Polskich należały 2 osoby, do SDPRR(b) — 16, do SDKPiL — 60, do PPS-lewicy — 34. Członków PPS ze stażem sprzed 1906 r. było 31 — w późniejszym okresie należały one jednak do PPSL, PPS Fr. Rewol. lub SDKPiL. (Z tego względu nie są one uwzględnione przy sumowaniu). Łącznie do skrzydła rewolucyjnego ruchu robotniczego należało 110 osób, do innych ugrupowań — 33 osoby. W roku 1917 do SDPRR(b), SDKPiL i PPS-lewicy wstąpiły 104 osoby. Natomiast w latach 1918—1923 w szeregi RKP(b) wstąpiło 200 osób. Wynika stąd, że ponad połowę owych bojowników stanowili ludzie bezpartyjni, którzy dopiero w ogniu bezpośredniej walki nabierali doświadczenia politycznego i stawali się świadomymi bojownikami walki o socjalizm.

Polacy z wymienionych czterech województw byli aktywnymi uczestnikami walk nie tylko na frontach wojny domowej, ale również i w pierwszym okresie rewolucji — w zbrojnych powstaniach październikowych w Piotrogrodzie, Moskwie i w innych ośrodkach. Brało w nich udział 20,2 proc. (116 osób na 573). Należy stwierdzić, że względny wskaźnik udziału Polaków z omawianych województw w tych powstaniach był stosunkowo wyższy w porównaniu z całością (7678 badanych osób), gdyż w tym ostatnim przypadku wynosił on tylko 5,6 proc. (434 osoby). Wśród uczestników wspomnianych powstań byli nie tylko szeregowi bojownicy, ale również członkowie ośrodków kierowniczych, np. komitetów wojskowo-rewolucyjnych, członkowie sztabów Czerwonej Gwardii, dowódcy i organizatorzy oddziałów Czerwonej Gwardii. W szeregach Czerwonej Gwardii znajdowało się 131 osób (na 573), w tym 29 osób to członkowie sztabów Czerwonej Gwardii, organizatorzy i dowódcy oddziałów Czerwonej Gwardii oraz młodsi dowódcy. Wielu z tych, którzy przeszli swój pierwszy chrzest bojowy w szeregach Czerwonej Gwardii, po utworzeniu Armii Czerwonej dowodziło już dużymi jednostkami. W Armii Czerwonej służyło 446 osób (na 573), tj. 77,8 proc. z ogólnej liczby Polaków — uczestników rewolucji, pochodzących z wymienionych województw. 84 osoby pełniły funkcje wyższych dowódców (od dowódców batalionu wzwyż, naczelników wydziałów politycznych, komisarzy pułków itp.), a 52 osoby to młodsi dowódcy. Oznacza to, że ponad 30 proc. Polaków-czerwonoarmistów zajmowało stanowiska dowódcze w Armii Czerwonej. Część czerwonoarmistów walczyła również przeciwko białogwardzistom i obcym najeźdźcą w oddziałach czerwonych partyzantów. Z liczby 17 czerwonych partyzantów 3 osoby były współorganizatorami lub dowódcami oddziałów.

Polacy z Białostocczyzny, Kielecczyzny, Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny uczestniczyli nie tylko w walce na froncie zewnętrznym, przeciwko kontrrewolucyjnym wojskom „białych" i interwentów. Nie zabrakło ich również w walce przeciwko siłom kontrrewolucji, zwalczającym władzę radziecką od wewnątrz m. in. poprzez sabotaż, dezorganizację produkcji, wrogą propagandę. Organem, który został powołany w roku 1917 do zwalczania dywersji stosowanej przez kontrrewolucję, była tzw. komisja nadzwyczajna do walki z kontrrewolucją i sabotażem, w skrócie Czk. 47 Polaków (na 573) było jej pracownikami, w tym 10 osób pełniło funkcje dowódcze. W milicji radzieckiej służyły 24 osoby, w tym 7 na stanowiskach kierowniczych, m. in. jako naczelnicy komend powiatowych.

Współudział w budowaniu ustroju socjalistycznego, w kierowaniu gospodarką narodową i w pracy polityczno-wychowawczej wśród szerokich rzesz społeczeństwa był nie mniej ważny niż walka przeciwko interwentom, czy też przeciwko wrogom działającym od wewnątrz. I w tej dziedzinie Polacy ze wspomnianych województw odegrali niepoślednią rolę. Wśród 573 osób w radach delegatów robotniczych pracowało 77 osób, w sądownictwie 13, w organizacjach związkowych i komitetach fabrycznych 14, w aparacie partyjnym 47, państwowym, gospodarczym i oświatowym 64 osoby.

W walce o zwycięstwo idei socjalizmu w latach 1917—1921 oddały życie 34 osoby (na 573) tj. 6 proc.

Przytoczone powyżej suche dane statystyczne mogą czytelnika zorientować jedynie ogólnie co do udziału Polaków z czterech województw w walce o zwycięstwo władzy rad w Rosji. Za tymi liczbami kryją się jednak piękne postacie ludzi, ludzi o wysokim morale, przepojonych głębokim poczuciem internacjonalizmu proletariackiego, którzy z pełnym samozaparciem walczyli na wszystkich frontach młodej Republiki Radzieckiej.

* * *

W samym powstaniu piotrogrodzkim brało udział 53 Polaków, pochodzących z naszych czterech województw. Oto kilka z grubsza tylko zarysowanych sylwetek.

KAZIMIERZ CICHOWSKI (ur. w 1887 r. w Ostrowcu Świętokrzyskim), od 1907 r. działacz SDKPiL, od listopada 1917 r. do marca 1918 r. był — jako jeden z organizatorów — zastępcą komisarza Komisariatu Polskiego przy

→

WALCZYLI

W TYGODNIACH, poprzedzających rocznicę Wielkiego Października, przyjechało do Polski kilka grup partyzantów radzieckich. Wielu z nich walczyło w partyzantce polskiej, zasilając szczupłe kadry dowódcze GL i AL, inni walczyli w oddziałach własnych, współpracując z wojskami frontowymi i polską partyzantką. Do historii II wojny światowej na ziemiach polskich wpisano na zawsze wiele wspólnych bitew i potyczek, setki wspólnych akcji bojowych i dywersyjnych. Za naszą i waszą wolność — to hasło prowadziło jednych i drugich do walki ze wspólnym wrogiem.

Na zaproszenie ZBoWiD przybywało ostatnio wielu partyzantów radzieckich na Lubelszczyznę, która była terenem o najbardziej nasilonej akcji partyzanckiej. Przeprowadziliśmy rozmowę z dwoma partyzantami, których nazwiska są szczególnie związane z naszym terenem: płk Borysem Szanginem, dowódcą zgrupowania oraz ppłk Piotrem Brajko, dowódcą 3 pułku 1 Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej im. Sidora Kowpaka.

Wielkie rosyjskie bandy spowodowały podważenie naszego autorytetu i zaszkodziły w wielkim stopniu niemieckim interesom. W rejonie działania band, w obrębie nadleśnictwa, niemiecka administracja i władza przestały funkcjonować... Wśród Niemców otwarcie wypowiadana jest myśl, że z powiatu biłgorajskiego stopniowo ustępujemy — skarżył się niemiecki starosta w Biłgoraju swoim władzom w Lublinie. Było to wczesną wiosną 1944 roku. Samochód pancerny, którym wieziono ten tajny meldunek, został rozbity przez partyzantów radzieckich ze zgrupowania płk Borysa Szangina, które na tym właśnie terenie działało.

Dziś, po przeszło 23 latach, stojmy na tarasie „Lublinianki": płk Szangin, jego dawni towarzysze walk partyzanckich, Edward Lis-Michoński — b. komendant podokręgu południowego BCh, Mikołaj Kunicki „Mucha" — b. dowódca polsko-radzieckiego oddziału partyzanckiego i historyk lubelski dr Zygmunt Mańkowski. Na tle jeszcze zielonych drzew ciemnieje pomnik wdzięczności dla Armii Czerwonej, a na jasnym garniturze mojego rozmówcy złocą się gwiazdy dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego.

— Byliście, pułkowniku, dowódcą jednego z największych oddziałów partyzantów radzieckich, działających na terenach polskich, właśnie w południowej Lubelszczyźnie. Wasze nazwisko wspominamy zawsze, gdy wypadnie mówić o tamtych latach. Czy możecie nam zdradzić, w jaki sposób zostaje się znakomitym partyzantem?

— Bo ja wiem? Trzeba mieć trochę wrodzonej zdolności, dużo siły fizycznej i psychicznej, no i głębokie przekonanie o słuszności sprawy. A najtrudniej to zacząć, potem jakoś idzie.

— Jak się zaczęło?

— Pracowałem w dużym zakładzie metalowym w Krzywym Rogu. Gdy Niemcy zbliżali się, polecono mi zająć się ewakuacją zakładu. Pewnego dnia wezwał mnie sekretarz partii Sirenko — ja byłem sekretarzem Komsomołu — i zaproponował, abym poszedł na tyły frontu niemieckiego i tam walczył. Zgodziłem się natychmiast. Front przebiegał wzdłuż Dniepru, hitlerowcy mieli już przyczółek za rzeką. Po naszej stronie powstało zgrupowanie Zacharowa złożone z 300 ludzi. Ja miałem kierować wywiadem. Ale ledwie przeszliśmy przez rzekę, Niemcy otoczyli nas. Nie mieliśmy przecież żadnej wprawy w partyzantce. Jednak zdołaliśmy wyjść grupami, ja wyprowadziłem 100 ludzi. Potem stepami Ukrainy przeszliśmy koło Dniepropietrowska, doszliśmy do lasów znamieńskich, potem briańskich, gdzie mój oddział wszedł do zgrupowania gen. Saburowa. Walczyliśmy wiele razy wspólnie z oddziałami gen. Kowpaka. Później przeszedłem do zgrupowania Szytowa, gdzie najpierw byłem komisarzem pułku, a potem całego zgrupowania.

— A kiedy i gdzie przeszliście na ziemie polskie?

— 23 lutego 1944 r. w wyzwolonym już Łucku otrzymaliśmy rozkaz Ukraińskiego Sztabu Partyzanckiego przejścia poza Bug. Zgrupowanie liczyło 451 ludzi, oprócz broni ręcznej mieliśmy 4 cekaemy, 50 erkaemów, 11 rusznic przeciwpancernych i 11 moździerzy, dla celów łączności 6 radiostacji nadawczo - odbiorczych, dzięki czemu dzieląc się na mniejsze grupy zawsze byliśmy w ścisłym kontakcie. 24 marca przeszliśmy przez Bug, mając za sobą dużo potyczek, kluczenia, nieraz cofania się. To było w rejonie Mostów Wielkich. Teren był nasycony obroną niemiecką i nie mogliśmy przejść niezauważeni. „Ekspedycja karna" przyparła nas z powrotem do rzeki, ale przerwaliśmy się i drogą okrężną dotarliśmy w rejon Łaszczowa i Hrubieszowa. Tu niemal wszystkie wsie były spalone, mieszkańcy bądź zginęli, bądź uciekli. We wsi Przewodów natknęliśmy się na oddział banderowców, który po naszym ultimatum wycofał się, ale ponieważ nadchodziły inne bandy, a my nie chcieliśmy podejmować walki, wycofaliśmy się do spalonych wsi. Następnego dnia spotkaliśmy się z „Łosiem", dowódcą polskiego oddziału partyzanckiego AK, który przekazał nam wiele cennych informacji, prowiant i przewodników.

— Warunki walki partyzanckiej sprawiają, że nigdy nie wiadomo, co będzie się robiło jutro, a nawet za kilka godzin. Ale mimo to istniały przecież jakieś podstawowe zadania, które mieliście wypełnić?

— Oczywiście. Chodziło o atakowanie linii komunikacyjnych wroga idących w kierunku na Lwów i Włodzimierz Wołyński. Wtedy właśnie tędy rzucono na front wiele oddziałów, m. in. wycofane oddziały z Afryki, no i zaopatrzenie. Pierwszej dywersji dokonaliśmy w nocy z 9 na 10 kwietnia 1 km od Suśca. Wysadziliśmy pociąg wojskowy, niszcząc 18 samochodów i 6 czołgów, nie licząc 6 zabitych Niemców, uszkodzonego parowozu i zerwanego toru; dokonał tego oddział im. Szczorsa, którym dowodził Wasyl Sawanin. Kilka godzin wcześniej rozbiliśmy 50-osobowy oddział hitlerowców. 11 kwietnia oddział na 28 samochodach, zabijając 28 i raniąc 24 Niemców. Tu też padli nasi pierwsi partyzanci na ziemi polskiej — mieliśmy 2 zabitych i 3 rannych.

— Żadne liczby nie oddadzą tego, co przeżywa partyzant, bohaterstwa jego walki z wrogiem i nieraz z samym sobą, z zimnem i głodem. Ale proszę o jakiś bilans waszych czteromiesięcznych walk na Lubelszczyźnie...

— Zaraz po wojnie zrobiłem sobie takie zestawienie. Licząc od przeprawy na Bugu przeszliśmy 1 850 km, przeprowadziliśmy 148 akcji bojowych i dywersyjnych, zabiliśmy 2 214, a raniliśmy 1 294 żołnierzy niemieckich, wykoleiliśmy 60 pociągów w tym 6 pancernych, 282 wagony towarowe i 13 opancerzonych, 48 platform i 15 cystern, 18 czołgów, 13 armat, prawie 9 km linii łączności, 11 fabryk i stacji kolejowych, 22 mosty, zdobyliśmy ponad 200 sztuk rozmaitej broni i ponad 40 tys. sztuk amunicji. I smutny bilans: 29 zabitych partyzantów, 23 rannych, 27 zaginionych bez wieści. W tym czasie do naszego zgrupowania wstąpiło 166 ludzi.

— Właśnie, w tym była polska grupa bojowa Michała Panasa, o czym u nas mało kto wie. Może więc kilka słów o nim?

— Był synem robotnika folwarcznego z Babic, pow. Biłgoraj. Jeszcze przed wojną po 2 latach „praktyki" u wiejskiego felczera zaczął na własną rękę składać ludziom złamane kości. W okresie okupacji sam utworzył mały oddziałek bojowy i zlikwidował posterunki niemieckie w Babicach i Łukowej. W zamian Niemcy rozstrzelali jego żonę. Zgłosił się do nas mając 60 ludzi, 34 karabiny, 12 automatów, 7 rkm, a nawet jeden moździerz. Z jego właśnie grupy powstał nasz oddział im. Kutuzowa, którym dowodził Panas. Znał doskonale teren i miejscowych ludzi, co bardzo nam pomagało. Należał do najbardziej odważnych ludzi. Zginął w walce pod Wolą Obszańską, zresztą zwycięskiej dla jego oddziału.

— Walka wymaga także prowadzenia działalności wywiadowczej, nie tylko dla własnych potrzeb. Na podstawie nieraz drobnych informacji napływających do centrali dowództwa wyższych stopni mogą układać plany akcji ofensywnych, działania lotnictwa itp...

— W czasie działalności na ziemiach polskich przesłaliśmy drogą radiową do Ukraińskiego Sztabu Partyzanckiego prawie 300 depesz, znaczna większość z nich zawierała także albo i wyłącznie informacje wywiadowcze. Musieliśmy także mieć kontrwywiad, bo Niemcy nieraz usiłowali wkręcić do naszych oddziałów swoich agentów. Nasz zwiad pod dowództwem Aleksandra Sobotowicza dostarczył bardzo cennych informacji o garnizonach niemieckich i fabrykach wojennych w Kraśniku, Nisku, Rudniku, Stalowej Woli, Rzeszowie, Mielcu, Sarzynie. Z naszego Sztabu także otrzymywaliśmy cenne informacje, jak np. tą, że Niemcy przygotowują okrążenie nas wielkimi siłami w Puszczy Solskiej.

— O ile wiem w przerwaniu okrążenia w Puszczy dowodzony przez was oddział odegrał najważniejszą rolę?

— Nie przesadzajmy, nie przesadzajmy, chociaż to prawda, że coś się tam zrobiło. Pierwsza próba przerwania się była nieco opóźniona, bo czekaliśmy na samoloty, które miały zabrać rannych. Ale samoloty nie przybyły — mieliśmy trzy jakby stałe lotniska, główne w Tarnowoli. Dwie pierwsze próby przebicia się przez pierścień niemiecki nie powiodły się. W trzeciej, 23 czerwca, nasze zgrupowanie uderzyło w centrum, mając z prawej strony zgrupowanie mjr Karasiowa, z lewej ppłk Prokopiuka. Dosłownie w ciągu 20 minut zmiażdżyliśmy obronę niemiecką i przeszliśmy Tanew. Później, w rejonie Niemirowa i Jaworowa, mieliśmy jeszcze jedno okrążenie, ale już mniej groźne. Nasze zgrupowanie wróciło 9 lipca do Puszczy. Ale w tej okolicy było jeszcze ok. 6 tysięcy Niemców, więc przeszliśmy w lasy janowskie. Niemcy na cały świat, a zwłaszcza tu na miejscu, krzyczeli, że skończyli z bandami. Więc 16 lipca w nocy gwałtownym atakiem rozbiliśmy ich garnizon w Janowie Lubelskim. Niemal cała ludność wyległa na ulice, witając nas z olbrzymią radością. Początkowo zresztą myślano, że to już przechodzi front.

— Wczoraj przejechaliście część tej trasy, którą kiedyś chodziliście jako partyzant. Spotkaliście dawnych przyjaciół, jak Józefa Kijkę z Józefowa, Edmunda Maśko z Łukowej czy Michała Kunickiego. No, ale dzisiaj inne czasy. Jak wiedy czuliście się na ziemi polskiej, jak wyglądały stosunki z ludnością?

Komisariacie Ludowym d/s Narodowości RSFSR. Następnie jako członek KC KP Litwy był komisarzem ludowym do spraw finansów rządu Litewskiej Republiki Radzieckiej, przewodniczącym jej Centralnego Komitetu Wykonawczego, a po powstaniu Republiki Litewsko-Białoruskiej przewodniczącym jej CKW. W kwietniu 1919 r. uczestniczył w walkach o Wilno, a po ewakuacji miasta był także przewodniczącym Mińskiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, komisarzem ludowym rolnictwa w rządzie tej Republiki i członkiem Rady Obrony Republiki. Oprócz tego był członkiem CKW grup Komunistycznej Partii Robotniczej Polski w Rosji. W 1920 r. służył w Armii Czerwonej, będąc m. in. zastępcą d/s polskich naczelnika Wydziału Politycznego 4 Armii.

Następnie działał w Polsce w szeregach KPRP i był członkiem KC Komunistycznej Partii Galicji Wschodniej. Aresztowany przez władze polskie 20 października 1921 r. sądzony był w tzw. procesie świętojurskim. Po wyjściu z więzienia w 1925 r. został dokooptowany do składu KC KPP, a prawdopodobnie w sierpniu 1927 r. do Biura Politycznego i Sekretariatu. W ciągu następnych dwóch lat sprawował funkcje sekretarza Komunistycznej Frakcji Poselskiej. Kolejne aresztowanie w Warszawie (18 marca 1929 r.) zakończyło się skazaniem na 8 lat ciężkiego więzienia. We wrześniu 1932 r. dzięki wymianie więźniów przybył do ZSRR. Niemal przez cztery lata był odpowiedzialnym pracownikiem Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, a od stycznia 1937 r. naczelnikiem Wydziału Kadr Brygad Międzynarodowych w bazie Albacete w Hiszpanii. Odwołany w sierpniu do ZSRR, padł ofiarą prowokacji. Pośmiertnie został zrehabilitowany.

BERNARD MANDELBAUM (DRZEWIESKI) urodził się w Lublinie w 1885 r. Od 1903 r. członek SDKPiL. W listopadzie 1917 r. był komisarzem Piotrogrodzkiego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego d/s Ochrony Muzeów i Zabytków Sztuki. Następnie, zajmując przez rok stanowisko kierownika Wydziału Kultury i Oświaty Komisariatu Polskiego, włożył wiele wysiłku w rozwój sierocińców i szkół powszechnych dla młodzieży polskiej, jak również w ochronę i odzyskanie dla narodu polskiego zabytków sztuki.

STANISŁAW PINTAL (ur. w 1894 r. w Biłgoraju) uczestniczył 25 października 1917 r. w zdobyciu centrali telefonicznej w Piotrogrodzie (obok Stanisława Pestkowskiego i Juliana Leszczyńskiego). Członek SDPRR(b) i SDKPiL od czerwca 1917 r. W 1918 r. jest pracownikiem Wydziału Wojskowego Komisariatu Polskiego i sekretarzem tego Komisariatu na Okręg Zachodni z siedzibą w Smoleńsku. W 1920 r. sprawuje funkcje naczelnika Wydziału Specjalnego 8 Dywizji 16 Armii. Następnie przeszedł do pracy w Czk — GPU zajmując m. in. stanowiska przewodniczącego CzK—GPU Białorusi (1921—24) i naczelnika Południowo-Kazachstańskiego Zarządu Obwodowego Komisariatu Ludowego Spraw Wewnętrznych ZSRR (1935—37). W 1937 r. był ponadto członkiem Biura KC KP(b) Kazachstanu.

ROMUALD MUKLEWICZ (ur. w 1890 r. w pow. białostockim) był jednym z kilkunastu Polaków, biorących udział w bezpośrednim szturmie na Pałac Zimowy. Włókniarz z zawodu, od 1906 r. był członkiem Socjaldemokratycznej Partii Litwy, od następnego działaczem PPS-Lewicy. W czasie wojny domowej i później zajmował wysokie stanowiska dowódcze w Armii Czerwonej. A więc m. in. komisarz Sztabu Frontu Zachodniego (1920), zastępca komendanta Akademii Sztabu Generalnego Armii Czerwonej (1922—25), zastępca dowódcy lotnictwa wojskowego ZSRR (1925—26), dowódca Marynarki Wojennej ZSRR (1926—33) i jednocześnie członek Rady Wojskowo Rewolucyjnej ZSRR, naczelnik Głównego Zarządu Budownictwa Okrętowego (1933—34) i zastępca komisarza ludowego przemysłu obronnego ZSRR (od 1936).

LEONARD PIETRZAK (ur. w 1891 r. w Lublinie), członek PPS od 1905 r., później działacz PPS-Lewicy, należał do oddziału Czerwonej Gwardii przy fabryce „Nowy Lessner" w Piotrogrodzie (organizatorem i dowódcą tego oddziału był Polak Wojciech Dąbrowski). 25 października wraz z oddziałem pozostawał w dyspozycji dowództwa ze Smolnego i uczestniczył w szturmie na Pałac Zimowy, następnie walczył przeciwko wojskom Kiereńskiego i Krasnowa pod Pułkowem i Gatczyną. W latach 1919—22 zajmował stanowisko naczelnika Wydziału Specjalnego Piotrogrodzkiej Gubernialnej CzK, później sprawował odpowiedzialne funkcje w milicji radzieckiej.

WŁADYSŁAW KUŁAKOWSKI (ur. w 1896 r. w woj. białostockim), tokarz z zawodu, stał na czele oddziału Czerwonej Gwardii przy fabryce Parwajnena w Piotrogrodzie i wraz z nim uczestniczył w szturmie na Pałac Zimowy oraz Władymirską Szkołę Junkrów.

STANISŁAW JAZUREK (ur. w 1891 r. w pow. lubartowskim) był członkiem SDKPiL od 1911 r., wiele lat spędził w więzieniach carskich. Uczestniczył także w szturmie na Pałac Zimowy, brał udział w tłumieniu kontrrewolucyjnego wystąpienia junkrów w listopadzie 1917 r. Od stycznia 1918 r. jest członkiem Kolegium Wydziału Aprowizacji Głównego Sztabu Czerwonej Gwardii w Piotrogrodzie. Następnie prowadził działalność polityczną w Polsce, a po aresztowaniu i wymianie więźniów z ZSRR pracował na Ukrainie w aparacie partyjnym i państwowym.

Powstanie październikowe w Moskwie było drugim co do znaczenia dla losów rewolucji socjalistycznej w Rosji. Wzięło w nim udział 94 Polaków, z tego 20 pochodzących z województw białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego. Z tych, którzy odegrali znaczną rolę w tym powstaniu, należy wymienić nazwiska:

MIKOŁAJ CZERLUNCZAKIEWICZ (ur. w 1876 r. w pow. chełmskim), absolwent Uniwersytetu Moskiewskiego, od 1903 r. był członkiem SDPRR, a od 1907 r. SDPRR(b). Po Rewolucji Lutowej uczestniczył w intensywnych przygotowaniach do powstania zbrojnego w Komitecie Moskiewskim SDPRR(b). Po zwycięstwie Rewolucji Październikowej poświęcił się organizacji sądownictwa ludowego, został przewodniczącym Rady Sędziów Ludowych i członkiem Kolegium Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości RSFRR.

EDWARD PRÓCHNIAK (ur. w 1888 w Puławach) to członek SDKPiL od 1903 r., długoletni więzień caratu. Po Rewolucji Lutowej był m. in. organizatorem moskiewskiej grupy SDKPiL i członkiem Komitetu Wykonawczego grup SDKPiL w Rosji, w czasie powstania październikowego utrzymywał stałą łączność między komitetami wojskowo-rewolucyjnymi dla całej Moskwy i dla dzielnicy rogożsko-simonowskiej. W 1918 r. był najpierw komisarzem d/s polskich obwodu moskiewskiego, następnie kierownikiem wydziału w Komisariacie Polskim przy Komisariacie Ludowym d/s Narodowościowych RFSRR. Pracując w sztabie Moskiewskiego Okręgu Wojskowego i współpracując z Feliksem Dzierżyńskim zajmował się sprawami formowania polskich oddziałów wojskowych. W latach następnych był m. in. członkiem Biura Polskiego przy KC RKP(b) (1920), członkiem KC KPP (1925—27), członkiem jego Biura Politycznego (1925—30 i 1936—37) oraz zastępcą członka BP (1931—36). Jednocześnie był członkiem Komisariatu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej (1922—35) i członkiem Prezydium jej Komitetu Wykonawczego (1926—35). W 1937 r. padł ofiarą prowokacji, pośmiertnie zrehabilitowany.

DOMINIK KUCZYŃSKI (ur. w 1881 r. w Choryszu pow. białostocki) został członkiem SDKPiL w 1903 r., a od marca 1917 r. SDPRR(b). W październiku 1917 r. pełnił funkcje zastępcy dowódcy sztabu Czerwonej Gwardii dzielnicy Butyrki w Moskwie, będąc zarazem członkiem Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego tej dzielnicy. Później kierował Wydziałem Agitacji RKP(b) tejże dzielnicy (1917—19), następnie zastępował kierownika Wydziału Politycznego 42 Dywizji Strzelców Armii Czerwonej (1919—20). Po demobilizacji pozostał w ZSRR i pracował jako tokarz.

WACŁAW JAKUB WĘGLIŃSKI (ur. w 1881 r. w Radzyniu Podlaskim) należał do SDKPiL od 1903 r., więziony za caratu. Był organizatorem, a następnie dowódcą 16 Lotnego Oddziału Czerwonej Gwardii w Moskwie. W czasie powstania październikowego dowodził tym oddziałem m. in. podczas walki z junkrami o zdobycie tzw. „Kitajgorodu", hotelu „Metropol" i w szturmie na Kreml, gdzie jego oddział stanowił główną siłę zbrojną. „Oddział Węglińskiego" — bo tak można o nim mówić — ochraniał pociąg radzieckiej delegacji pokojowej w drodze do Brześcia w 1917 r., jak również zabezpieczał ewakuację rządu i złota z Piotrogrodu do Moskwy w marcu 1918 r. Uczestniczył również w walkach z eserowcami i anarchistami w Moskwie i w tłumieniu buntów kułackich w guberni moskiewskiej w 1918 r. Jako dowódca Lotnego Oddziału Zachodniej Dywizji Strzelców na Froncie Zachodnim w 1919 r. prowadził walkę partyzancką na tyłach wojsk przeciwników, był dwukrotnie ranny. Po rozbiciu oddziału przybył nielegalnie do Warszawy. Jednak podczas próby przekroczenia granicy RFSRR został aresztowany i odstawiony do Cytadeli Warszawskiej. W marcu 1929 r. został zwolniony za kaucją i powrócił do Rosji Radzieckiej. Kolejno zajmował stanowiska dowódcy oddziału wojsk WCzK, kierownika Wydziału Administracyjno-Gospodarczego KC RKP(b) i współpracownika Biura Polskiego przy KC RKP(b). Wreszcie pracował na odpowiedzialnych stanowiskach w aparacie gospodarczym ZSRR.

FRANCISZEK KOWALEWSKI (ur. w 1881 r. w Radomiu), członek SDKPiL od 1913 r., w dniach Października dowodził kolejowym oddziałem Czerwonej Gwardii w Moskwie. W okresie międzywojennym był kolejarzem w Polsce i członkiem KPP, po wyzwoleniu należał do PPR i PZPR, zmarł w 1960 r.

ALEKSANDER ROGIŃSKI (ur. w 1881 r. w Białymstoku) był zastępcą dowódcy oddziału Czerwonej Gwardii sformowanego z robotników polskich Warszawskiej Fabryki Armatur w Moskwie. Wraz z nim w listopadzie 1917 r. uczestniczył w zdobyciu składów intendentury na Bulwarze Zubowskim i w szturmie na gmach liceum, w którym ukryli się oficerowie białogwardyjscy. W latach 1918—20 jest pracownikiem d/s agitacji i propagandy z ramienia KC KP Litwy i Białorusi. Prawdopodobnie po sierpniu 1919 r. prowadził nielegalną działalność rewolucyjną w Mińsku okupowanym przez wojska Piłsudskiego. Po zakończeniu wojny domowej pozostał w ZSRR.

Wielu Polaków było również zwykłymi, szeregowymi czerwonogwardzistami, którzy przelewali swą krew w walce o zwycięstwo socjalizmu. Część z nich przekazało swoje nazwiska potomności, część zginęła bezimiennymi. Czcząc pamięć tych, których znamy, oddajemy tym samym hołd wszystkim pozostałym.

ZBIGNIEW STRZAŁKOWSKI

Komentarz do narodzin mojego wieku

Widziałem jak rodzi się burza z piasku.
Myślę, że podobnie narastał gniew po wsiach i miasteczkach.
Nie znam ich twarzy — z obrazów niewiele można odczytać...
Kiedy przechodzili mosty zwodzone pieśń łąki otwierała kwieciste
I tak padali w jej chustę a w ostatnim jęku kryli żal
że już trzeba odejść.
Nam — więc i mnie w kołysce śpiącemu — pozostawili radość
gromadzenia sprawiedliwości.
Ci co odchodzili w mury pocisków wracali do gliny.
Tam się wszak narodzili.
Przez wiele lat oddychali piołunem przedmieścia.
Teraz ich fala deszczu wyprzedzała. Za nimi szedł ostry front głodu.
Nie było gdzie się cofać.
Biegli wciąż naprzód. Anioła Czerni wyprzedzali...
Ziemia konała w pyle brązowym. Jelita obco wlokły się w błękit,
Obok konia człowiek obok niego ptak a niżej żółta trawa gasła.
Europie nie śpieszno było rzucić garść ziarna w ruski pejzaż ognia...
Wyszły czarne kobiety z pustymi piersiami.
Nad rzeką opłakują śmierć nienarodzonych.
Jest wśród nich i Maria matka Jezusowa
i mój ojciec z przeciętą na ukos twarzą Polaka...
Kiedy burza odeszła w głąb bieli sprawdziłem:
z drobnych ziarenek piasku powstała.
Teraz już były delikatne i słońce w ich skórze igrało swawolnie.
Mnie wypadł ten czas uroczysty — wejście porą najwyższej melodii,
kiedy ostatnie oddziały milkną za linią brązu,
a już we wsi jest przednia straż nadziei.

(Wiersz ukaże się w międzynarodowej Antologii Poetyckiej przygotowanej na 50-lecie Wielkiej Rewolucji Październikowej pod red. Leona Pasternaka (wersja polska).

Białostocczanin na „AURORZE"

DZIAŁO się to — licząc według starego kalendarza — w nocy z 24 na 25 października. Niebo pokryte było czarnymi chmurami, nad morzem wisiała gęsta mgła...

Tej nocy cała załoga krążownika „Aurora" wyległa na pokład. A choć od strony morza wiał lodowaty wiatr, nikt nie czuł zimna. Marynarzy palił ogień niezwykłego podniecenia. Wiedzieli, że zaraz się zacznie... Panowała cisza. Niekiedy tylko słychać było stłumione rozmowy i chrzęst broni.

Podoficer amunicyjny, Jakub Martyniuk, wbił oczy w mglistą dal, tam gdzie pobłyskiwały światła Sankt Petersburga. Stolica Rosji zdawała się spać spokojnym snem. Lecz on wiedział, że to tylko pozór. Czuł każdym nerwem, jak miasto wre z podniecenia, szykując się do skoku. Jeszcze chwila, a skoczy do gardła całemu zmurszałemu światu. O, tam, w rzęsiście oświetlonym Pałacu Zimowym, otoczeni korpusem junkrów, zamknęli się przedstawiciele starego porządku.

Martyniuk ocknął się z chwilowej zadumy i ująwszy dalmierz już zimnym okiem artylerzysty mierzył odległość do tego punktu.

Rzuca komendę. Podaje cel. Lufy działa kierują się w stronę pałacu.

— Ognia!

Potężny huk wstrząsnął ciszą nocną. Potem strzelano już raz za razem. Obsługa dział pracowała bez wytchnienia. Reszta marynarzy schodziła na brzeg, by wziąć udział w szturmie...

*

Dziś, po upływie 50 lat, wydarzenia te poznajemy przeważnie z podręczników historii i z referatów wygłaszanych w rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej. Brzmią one patetyczną nutą w wierszach poetów, a bohaterowie owych dni urastają w wyobraźni do miary olbrzymów...

Niektórzy z nich żyją jeszcze i po bliższym poznaniu okazują się ludźmi bardzo skromnymi i prostymi. Jeden z marynarzy „Aurory" — właśnie ów podoficer amunicyjny Jakub Martyniuk — mieszka na Białostocczyźnie, w swej rodzinnej wsi Nowoberezowo. Wieś podobna do wielu innych. On sam również nie różni się niczym od reszty sąsiadów. W swym codziennym życiu ma takie same radości i takie same zmartwienia.

Jest to człowiek skromny i pełen prostoty. Wcale nie uważa siebie za jakiegoś bohatera. Dość powiedzieć, że przez wiele lat w ogóle nie chwalił się nigdzie swą rewolucyjną przeszłością i dopiero stosunkowo niedawno „odkrył" go ktoś z Komitetu Powiatowego PZPR i zaprosił na akademię w rocznicę Rewolucji Październikowej. Otrzymał rentę i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

W tej chwili stan zdrowia Jakuba Martyniuka przedstawia się nie najlepiej. Lecz gdy rozmawialiśmy z nim przed kilku laty, czuł się dobrze i mimo podeszłego wieku pamiętał wszystkie wydarzenia z roku 1917 tak, jakby to było wczoraj. W słowach prostych, pozbawionych jakichkolwiek frazesów, snuł opowieść o swej drodze życiowej, która z zapadłej wsi białostockiej zaprowadziła go w samo centrum Wielkiej Rewolucji.

*

Gdy w roku 1912 był pobór rocznika 1890 — młody Jakub należał do tych kilku nieszczęśliwców z Nowoberezowa, którzy wyciągnęli „los". Popędzono ich w „soldaty". Jego wzięto do marynarki wojennej. Służył na okręcie „Diana", potem na pancerniku „Piotr Pierwszy". Objeździł kawał świata.

Ponieważ wykazywał duże zdolności, a nadto był „gramotny", przyjęto go do podoficerskiej szkoły w Kronsztadzie. Gdy ją ukończył, toczyła się już wojna światowa. Skierowano go do służby na „Aurorze". Ten stary, nadwerężony jeszcze podczas wojny japońskiej krążownik, dzielnie spisywał się w starciach z niemiecką flotą. Ale w 1916 r. trzeba go już było oddać do generalnego remontu w stoczniach petersburskich. Dzięki temu załoga mogła nawiązać kontakty z rewolucyjną klasą robotniczą Petersburga.

Pierwsze wystąpienie marynarzy z „Aurory" to czasy poprzedzające rewolucję lutową. Wszyscy wyszli na pokład, manifestując swą solidarność z robotnikami.

Kapitan Nikolski był blady z wściekłości. Skupił wokół siebie oficerów i nakazał im mieć broń w pogotowiu. Usiłując przekrzyczeć wiwatujących marynarzy, ryczał:

— Wszyscy won z pokładu!

Nikt go nie słuchał. Ręka kapitana powędrowała do kabury z pistoletem. Niektórzy oficerowie uczynili to samo. Nastąpiła chwila pełna napięcia. Marynarze nie ustępowali nawet na widok wycelowanych w nich luf pistoletów. Padły strzały. Wtedy dopiero wycofali się. Na pokładzie został skrwawiony trup jednego z marynarzy.

Mylił się kapitan Nikolski sądząc, że ta zbrodnia zahamuje rewolucyjne wrzenie na „Aurorze". Załoga w nocy spuściła na sznurach dwóch delegatów, którzy udali się do robotników z prośbą o pomoc. Nazajutrz z samego rana tysięczny tłum stanął u burty „Aurory".

Kapitan Nikolski liczył na to, że znów uda mu się sterroryzować załogę. Uwijając się z pistoletem w ręku, rozkazał:

— Na stanowiska!

Marynarze stanęli przy działach.

— Walić w tę hołotę! — ryczał dowódca.

Lufy dział zaczęły się wolno obracać. Lecz w stronę odwrotną — ku morzu. Nikolski poczuł wówczas swą bezsilność. Ręka z pistoletem bezwładnie mu opadła. Bał się strzelać.

Tymczasem na pokład wdzierali się już robotnicy. Kapitan oraz oficerowie, którzy występowali przeciwko załodze, zostali aresztowani. Rządy na „Aurorze" objął komitet rewolucyjny.

*

Wydarzenia te otworzyły oczy Jakubowi Martyniukowi, wciągnęły go w nurt rewolucji. Ale koło historii toczyło się dalej, nie zatrzymując się na przewrocie burżuazyjnym i obaleniu cara. Rząd Kiereńskiego nie spełnił nadziei rewolucjonistów.

W marcu przyjeżdża do Petersburga Lenin. Wszyscy marynarze z „Aurory", którzy nie mieli tego dnia służby, idą na mityng na Dworcu Fińskim. Lenin przemawiał do wielotysięcznego tłumu stojąc na samochodzie pancernym. Jakub Martyniuk widział go wówczas po raz pierwszy. Potem nie przepuścił ani jednej okazji, żeby nie wysłuchać przemówienia Lenina. Każde słowo trafiało mu do przekonania, tak jakby było wysnute z jego myśli i uczuć: przerwać prowadzenie imperialistycznej wojny, oddać ziemię chłopom i całą władzę radom robotniczo - żołnierskim.

Głosy burżuazyjnych przywódców, którzy nawoływali do dalszego prowadzenia wojny i odkładali przeprowadzenie reform społecznych na później — stawały mu się obce i wrogie. Wiedział, że to jest obrona starego porządku.

Komitet rewolucyjny z „Aurory" miał stały kontakt ze Smolnym, gdzie mieścił się sztab komunistycznej partii. Wieczorem 24 października delegacja marynarzy wróciła stamtąd dziwnie poważna i skupiona. Podeszli do podoficera amunicyjnego Jakuba Martyniuka.

— Słuchaj, ustawisz działa i będziesz walił w Pałac Zimowy.

— Kto za to odpowiada?

— Już ty się nie martw, wszyscy odpowiadamy.

— Czyj rozkaz?

— Lenina.

Martyniukowi wystarczyło. Nie pytał już o nic.

(p)

RAZEM Z NAMI

— No cóż, byli nacjonaliści polscy i ukraińscy, były pozostałości przedwojennej propagandy. Ale olbrzymia większość ludności polskiej odnosiła się do nas nie tylko przychylnie, ale i bardzo serdecznie. Widziano w nas przyjaciół, którzy walczą ze wspólnym wrogiem. Bez pomocy ludności — w żywności, podwodach, lekarstwach, informacjach — nie moglibyśmy działać. Dzięki temu np. nie zdarzyło się, abyśmy musieli kiedykolwiek rekwirować żywność. Odwrotnie — gdy przyszliśmy do lasów biłgorajskich, rozdaliśmy ludności większość naszych koni. Kolportowana przez nas gazeta „Wolna Polska" była rozchwytywana przez ludność, na spotkania z nami przychodził kto tylko mógł, całymi godzinami rozmawialiśmy na różne tematy związane z wojną i z przyszłością.

— Jak zakończyliście, pułkowniku, waszą partyzancką działalność?

— 23 lipca napotkaliśmy czołowe jednostki Armii Czerwonej. Razem z nimi i innymi ugrupowaniami partyzanckimi uczestniczyliśmy w zdobyciu Biłgoraja. Wyróżnił się tu oddział im. Kutuzowa, w którym było wielu Polaków i ten oddział potem, przydzielony do jednostek Armii Czerwonej, ułatwiał regularnym wojskom dojście do Sanu i dalszy marsz. My zaś przez Rawę Ruską pojechaliśmy do Lwowa, gdzie nasze zgrupowanie po wypełnieniu zadań zostało rozformowane. Teraz pracuję w Krzywym Rogu w Instytucie Melioracji.

* * *

— Nazwisko Kowpaka i Werszyhory to nie historia, ale i legenda, żywa zarówno w Związku Radzieckim jak i w Polsce. Co was pułkowniku Brajko, zaprowadziło do tej dywizji?

— Pewnie raczej przypadek. Tuż przed wybuchem wojny byłem strażnikiem na granicy polskiej. Potem pod Kijowem zostałem przez Niemców wzięty do niewoli w okrążeniu. Ale w obozie we wsi Darnica spędziłem tylko jedną noc, po której uciekłem z 4 żołnierzami. W ciągu 4 miesięcy daremnie usiłowałem przebić się na wschód przez linię frontu. Koło wsi Wiktorowo spotkałem się z partyzantami Kowpaka i Rudniewa. Ale Kowpak początkowo podejrzewał, że jestem nasłany przez Niemców i prawdę powiedziawszy tylko Werszyhora ocalił mnie przed rozstrzelaniem. Ponieważ kilku ludzi poznało mnie, Kowpak zgodził się przyjąć mnie do oddziału. Ale nie uznał mego stopnia porucznika mówiąc, że w partyzantce trzeba zaczynać od początku, bo garnizonowe wiadomości i umiejętności nie bardzo się tu przydają. Po 10 dniach jakoś się wyróżniłem w walce i kolejno awansowałem.

— Może kilka słów o rajdzie na ziemiach polskich?

— Znalazłem się w waszej ojczyźnie 12 lutego 1944 r. jako kapitan, dowódca batalionu w zgrupowaniu, które jeszcze wtedy nazywało się Grupa Otriadów Partyzanckich Sumskoj Oblasti, a po dwóch tygodniach zostało przemianowane na 1 Ukraińską Dywizję Partyzancką im. Kowpaka. Dowodziłem od tego czasu 3 pułkiem. Granicę przekroczyliśmy w drodze z Sokala do Brusna w pow. lubaczowskim, potem lasy biłgorajskie i janowskie, rejony Tomaszowa, Zamościa, Krasnobrodu, Krasnegostawu, Ostrowa Lubelskiego. Byliśmy w Polsce ok. 40 dni, przyszło nas 2 500 chłopa. Mieliśmy dużo broni maszynowej, a nawet 10 dział 45 i 76 mm. Zaopatrzenie najczęściej otrzymywaliśmy przejmując w marszu zrzuty, koło Tarnogrodu mieliśmy lotnisko. Mój pułk liczył do tysiąca ludzi.

— Koło Zamościa toczyliście bardzo zacięty bój...

— Atakowało nas tysiąc Niemców przy wsparciu czołgów, samochodów pancernych i lotnictwa. Poległo ich kilkuset, zestrzeliliśmy samolot, zniszczyliśmy 2 czołgi. To było koło wsi Wieprzec. Zresztą tydzień później niemal w tym samym miejscu była druga bitwa, trwała 5 godzin, Niemcy ponieśli jeszcze większe straty, m. in. 5 czołgów, samolot, 2 samochody pancerne.

— Hitlerowcy ze szczególną zaciekłością atakowali waszą dywizję, ale nie byliście im nigdy dłużni?

— Oczywiście, to oni ponieśli znacznie większe straty. Właśnie byłem w Stalowej Woli i spotkałem się z Apolonią Penk, obecnie Lachową, która jako 16-letnia dziewczyna dostarczyła nam wiele informacji o tamtejszej fabryce. Ostrzelaliśmy ją artylerią przez San, jeszcze teraz w elektrowni widziałem resztki śladów. Wtedy Niemcy tak się przestraszyli, że na drugi dzień wywieźli rodziny sądząc, że to już nadchodzi front. Od tego czasu prawie wszyscy byli znacznie łagodniejsi wobec Polaków. Niedawno spotkałem się z człowiekiem, który jako żołnierz niemiecki walczył z nami w rejonie Krzeszowa i Kosobud. Był pod Stalingradem i Kurskiem, ale twierdził, że tak zaciętego fragmentu starcia nigdy nie przeżył jak pod Krzeszowem — w ciągu 20 minut silny oddział niemiecki w ogóle przestał istnieć.

— Z Lubelszczyzny pomaszerowaliście na Białostocczyznę. Tam też było wiele krwawych bitew?

— Oczywiście — pod Drohiczynem, Siemiatyczami, Tolbinem, Demianiczami, Chmielewem i innymi. W końcu marca sforsowaliśmy Bug koło Drohiczyna i przeszliśmy na wschodni brzeg, kończąc rajd po ziemiach polskich.

— Po zakończeniu wojny pozostaliście w Armii Czerwonej, zdobywając stopień pułkownika. A teraz?

— Skończyłem Instytut Literatury im. Gorkiego w Moskwie. Piszę wspomnienia z tamtych czasów. No i razem z żoną — ale to u nas jeszcze tajemnica — piszemy scenariusz do filmu o tych walkach. Ale o tym sza, żeby nie zapeszyć...

Rozmawiał
Jerzy Dostatni

Sergiusz Prytycki z kontradmirałem Józefem Sobiesiakiem. Fot. K. Gosz.

FRANCISZEK CZERSKI

Powrót spod szubienicy

NIEZWYKŁE wypadki, których bohaterem był Sergiusz Prytycki, rozgrywały się w latach 1935—36. Weszły one już do historii walk z tyranią i ciemnotą. Chociaż wtedy były bardzo głośne nie tylko w Wilnie, ale w całej Polsce, a nawet poza jej granicami, dziś już rzadko kto o nich pamięta.

Bohatera tych wydarzeń, Sergiusza Prytyckiego, poznałem dzięki kontradmirałowi Józefowi Sobiesiakowi. Prytycki, dziś sekretarz KC KPZR Białorusi, niechętnie wspomina tamte koszmarne dni i dopiero po długich naleganiach snuje pasjonującą opowieść, którą wiernie przekazuję czytelnikom „Kameny".

„Dimka" to pseudonim o pieszczotliwym brzmieniu. Ale człowiek, który się nim posługiwał, to bezwzględny prowokator, Jakub Strelczuk. Z ofiar jego prowokacji, które zmarły w sanacyjnych więzieniach, można by utworzyć olbrzymi kondukt pogrzebowy. Kiedyś członek partii, przeszedł na służbę policji granatowej i następnie wydał w ręce kata koło tysiąca działaczy komunistycznych. W latach 1935—36 nie było tygodnia, aby w sądach sanacyjnych nie toczyły się procesy polityczne, obejmujące nieraz kilkudziesięciu oskarżonych. Była to robota „Dimki". Wynagradzany sowicie „od głowy", nęcony wciąż nowymi obietnicami, sprzedawał działaczy ruchu rewolucyjnego. Uchwałą KC Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi został skazany na likwidację, jednak wyroku nie dało się wykonać. Czując bezkarność, Strelczuk rozzuchwalał się coraz bardziej, powodując aresztowania nie tylko działaczy komunistycznych, ale i całkiem niewinnych ludzi.

Pod koniec roku 1935 spotkałem się z I sekretarzem KC KPZB Mikołajem Dwornikowem — „Robertem", wspaniałym rewolucjonistą, który później zginął na barykadach w Hiszpanii. Zapytałem go wprost:

— Rozumiem trudności, na jakie napotyka partia. Ale mimo to nie pojmuję, dlaczego nie wykonano wyroku na Strelczuku?

— Łatwo powiedzieć, ale wykonać trudniej.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim dlatego, że Strelczuk mieszka na trzecim piętrze budynku, w którym mieści się wileńska defensywa. Rzadko kiedy go opuszcza. Gdy wychodzi, towarzyszy mu cała zgraja szpiclów i policjantów.

— Czy nie ma ochotników, którzy mimo to podjęliby się jego likwidacji?

— Są, oczywiście są, towarzyszu „Arkaszka". Ale straciliśmy już daremnie tylu ofiarnych ludzi. Było kilka zamachów, lecz nie udały się. Prowokator zaś jeszcze głębiej zaszył się w swojej norze.

— Mam jednak pomysł: najlepiej będzie zlikwidować go na miejscu jego zbrodni, w sadzie, gdy będzie zeznawał jako świadek policji.

— Człowieku, to przecież pewna śmierć! Czy znajdziesz ochotników do wykonania wyroku w takim miejscu?

— Już znalazłem!

— ?!

— Po prostu pójdę sam. Bieda jednak z tym, że tego łotra nigdy jeszcze nie widziałem na własne oczy.

— Nie, drogi „Arkaszka", ty nie możesz tam pójść. Masz odpowiedzialną pracę, znasz tyle ogniw roboty konspiracyjnej. Mamy do ciebie pełne zaufanie, ale przecież nigdy nie wiadomo, jak człowiek zachowa się w czasie tortur.

— Nie raz siedziałem już w więzieniach sanacyjnych, byłem bity i torturowany, a jednak nikogo nie wydałem. Moje jedno życie uratuje dziesiątki, a może nawet setki innych — starałem się przekonać „Roberta".

KC partii wyraził zgodę. Przekazałem swoje obowiązki, otrzymałem zdjęcie tego łotra i dwa nowiutkie Visy. Pragnąłem wszystko mieć najszybciej za sobą, a tymczasem dni ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie gazety przyniosły na pierwszych stronach zapowiedź procesu profesorów i studentów oskarżonych o działalność komunistyczną. Koronnym świadkiem prokuratora miał być, oczywiście, Jakub Strelczuk. Ucieszyłem się tą wiadomością, chociaż wiedziałem, co mnie czeka.

Dzień 25 stycznia 1936 r. był bardzo mroźny. Koło gmachu sądowego w Wilnie po raz pierwszy zobaczyłem Strelczuka, gdy pod silną ochroną udawał się na salę rozprawy. Ale tego dnia nie wpuszczono mnie do tej sali. Żałowałem bardzo, a jednocześnie gdzieś tam w sercu zatliły iskierki radości, że pożyję jeszcze jedną dobę. Ale na salę zdołałem wejść dopiero 27 stycznia, dwie doby później. Siedziałem w siódmym rzędzie. Łomoczące serce podchodziło mi do gardła. Nie słyszałem nawet, co czytał sędzia. A jednak w pewnej chwili dotarł do mnie jego tubalny głos:

— Proszę wprowadzić na salę świadka Jakuba Strelczuka.

Jak zawodowy mówca prowokator mówił szybko i starannie dobranymi słowami, raz po raz wskazując na ławę oskarżonych. Koniec z tobą, zdrajco — pomyślałem — już więcej mówić nie będziesz. Zerwałem się błyskawicznie i wskoczyłem w przejście między ławkami. Zdezorientowani policjanci nie zatrzymali mnie. Oba pistolety, na szczęście, wypaliły. Zdrajca, skulony na podłodze, kończył swój niecny żywot.

— Nie ruszać się, bo będę strzelał — wrzasnąłem, przebiegając do drzwi. Wywaliłem je ramieniem i wypadłem na korytarz. Gdy zobaczyłem i tutaj kilka granatowych mundurów policjantów, krzyknąłem:

— Ręce do góry! Szybciej, bo będę strzelał!

Posłuchali rozkazu. A jeden, najbardziej tchórzliwy, zaskomlał: daruj życie. Rozśmieszyło mnie to, ale szybko zbiegałem po schodach. Ja do nich nie strzelałem, darowałem życie — ale oni rozpoczęli wtedy piekielny ogień. Pociski dosięgły mnie na półpiętrze: pierwszy w brzuch, drugi w bok, trzeci przeszył mi ucho, czwarty trafił w nogę. Jak na jednego, zbyt wiele ołowiu. Zwinąłem się w kłębek i runąłem w dół. Policjanci przestali strzelać...

Obudziłem się na łóżku szpitalnym. Przy drzwiach stał jeden drab w granatowym mundurze, przy oknie drugi. Wszedł lekarz, pochylił się nad łóżkiem i dziwnie ciepło powiedział:

— Proszę leżeć spokojnie.

— Gdzie jestem?

— W szpitalu św. Ducha. Jestem lekarzem, robiłem panu operację.

— Nie rozmawiać z bandytą, doktorze — wrzasnął policjant od drzwi.

— Panie przodowniku, proszę nie krzyczeć. Dla mnie jest to człowiek po ciężkiej operacji, a nie żaden bandyta. Jak będzie u was niech pan sobie wrzeszczy — odpalił.

Łzy zakręciły mi się w oczach. Jakże byłem wdzięczny temu lekarzowi. A on, jakby na przekór zakazowi, mówił dalej:

— Wytrzymał pan operację... Silny organizm wszystko zwycięży..

I rzeczywiście wytrzymałem, mimo że w moich wnętrznościach było 17 dziur, a jeden pocisk do dziś pozostał mi w lewym boku. Nazajutrz, dzięki usilnym staraniom doktora Ochmatowicza, czułem się lepiej, ale potem znów opanowała mnie gorączka 40 stopni, przychodził kryzys. Mimo to następnego dnia zjawił się prokurator Piotrowski w towarzystwie sędziego apelacyjnego do spraw wyjątkowej wagi Skindera. Dr Ochmatowicz protestował gorąco:

— Mówiłem panom, że jest za słaby na przesłuchiwanie, a wy ciągle swoje: musi gadać. Przed chwilą zemdlał i macie gadanie.

— Panie doktorze — zaczął prosząco Piotrowski — Warszawa chce wyjaśnień. Pan rozumie: strzały w sądzie — przecież to wielki skandal. Zabito człowieka, tak bardzo nam potrzebnego.

— Dobrze, dobrze, ale czy nie widzicie w jakim stanie jest pacjent?

— Nie pacjent, ale bandyta — przerwał Skinder.

— Dla mnie pacjent, ja nie zajmuje się polityką, ale szpitalem.

Półtora miesiąca dr Ochmatowicz i jego koledzy walczyli o moje życie, a jednocześnie pilnowali mnie policjanci. Gdy tylko czułem się lepiej, natychmiast telefonowali do Piotrowskiego i Skindera. Przychodzili oni i w nocy i o świcie. Ale nie zdradziłem nikogo. Dowiedzieli się tylko, że pochodzę ze wsi Charkowicze, pow. Sokółka, że mój ojciec miał półtorej morgi i dziesięć gęb do wyżywienia. Mówiłem im o strasznej biedzie na wsi, o bezrobociu i więzieniach. Ale to ich nie interesowało. Chcieli znać nazwisko sekretarza KC, innych towarzyszy.

— Nie o propagandę komunistyczną nam chodzi, ale o nazwiska, fakty — powtarzał w kółko Piotrowski.

Gdzieś po miesiącu przyszli z uśmiechem na twarzy. Zaczął prokurator:

— Panie Prytycki, chcemy pańskiego dobra. Niech pan wszystko powie, a otrzyma pan sowitą nagrodę...

— Chcecie mnie po prostu przekupić? — przerwałem.

— Zaraz — przekupić. Nikt panu nie zabroni wyznawać swój komunizm. Pan nam da informacje, a my damy ojcu ziemię na kresach, panu dobrą pracę i będziemy żyli w spokoju.

— Wolny etat po Strelczuku dla mnie? Szukacie nowego Judasza? Jak wiecie, siedziałem w więzieniu...

— Zatrzymy karę — pośpieszył z wyjaśnieniem Skinder.

— Nie o to chodzi, może zostać. Gdy siedziałem poprzednio, jakiś przodownik policji proponował mi to samo. Czy wy nie możecie zrozumieć, że nie wszystko dostaje się za pieniądze?

— Czy to twoje ostatnie słowo? — zasyczał Piotrowski.

— Tak, ostatnie. A gdzie się podział „pan" Prytycki?

— Jeszcze zobaczymy, czy nie zmienisz zdania! — groził zjadliwie Skinder.

Pewnego dnia wpadli policjanci, rzucili mnie na nosze i w zakratowanej kibitce zawieźli do szpitala więziennego. Warunki były tu okropne. Lekarz, którego nazywałem konowałem, ciągle mnie wyzywał. Nie wiem, jak by to się skończyło, gdyby nie więźniowie-pielęgniarze. Potem już tylko czekałem na proces w zatęchłej celi, gdzie rany goiły się bardzo źle. Ale mniejsza o to, i tak wiedziałem, że stryczka nie uniknę. Pewnego dnia znowu przyszedł prokurator Piotrowski. Męczył mnie długo, a w końcu powiedział:

— Prytycki, ile tchu w piersiach będę walczył dla ciebie o stryczek!

Roześmiałem się mimo woli z jego napuszonej jak u młodego indyka miny. Z nienawiścią wyrzucił z siebie:

— Twarda z ciebie sztuka, ale jeszcze zobaczymy...

Nadszedł czerwiec. Zawsze lubiłem ten miesiąc, kiedy przyroda jest w pełni rozkwitu. Lubiłem wychodzić na pola, patrzeć na szumiące zboża. A teraz zamiast pól, przez zakratowane okienko widziałem cuchnące podwórko, po którym snuły się w drewnianych trepach szeregi więźniów. Dzień i noc układałem swoją mowę obronną, a raczej oskarżenie przeciwko tym, którzy żałowali ludziom pracy i chleba. Wiedziałem już, że w sądzie będę miał wspaniałych obrońców — Duracza i Berensona, którzy już teraz robili wszystko, aby mi ulżyć. Pewnego dnia do celi wszedł naczelnik więzienia, a za nim „golibroda". Wiedziałem co to znaczy, chociaż naczelnik wyjaśnił mi to w sposób wulgarny:

— Wygolimy, podmyjemy i hajda do Lucypera!

Złość mnie opanowała, ale zdobyłem się na spokój:

— A może do nieba, panie naczelniku? W piekle mógłbym pana spotkać, a tego towarzystwa mam już dość.

— Prytycki, nie bądź głupi. Oprócz celi mam jeszcze karcer, dobry karcer, a ty go jeszcze nie wąchałeś.

— Wąchałem, wąchałem, naczelniku.

Po godzinie byłem już w karetce skuty kajdanami. Popychany przez strażników, wciąż jeszcze po chorobie słaniający się na nogach, znalazłem się w sali sądowej. Osłabłem zupełnie, odczuwałem drżenie rąk i nóg. Ale kiedy woźny wrzasnął: wstać, wysoki sąd idzie! — wstałem silniejszy. Wiedziałem, że wyrok został przygotowany już na długo przed rozprawą, a jednak wyprostowałem się i popatrzyłem dumnie w oczy tych, którzy mieli mnie sądzić. Moi wspaniali obrońcy Duracz i Berenson złożyli szereg wniosków, ale sąd wszystkie odrzucił. Było jasne, że rozprawa potoczy się szybko, zgodnie z ustalonym wyrokiem.

— Ten człowiek przeszyty kulami — mówił Duracz — nie ma sił, aby stanąć przed sądem. W myśl praw, przyjętych przez wszystkie cywilizowane narody świata, każdy oskarżony wchodzi na salę sądową i siada na ławie oskarżonych... Nie miałem jeszcze wypadku w mojej pracy adwokackiej, aby kogoś wnoszono na salę sądową, czego tu jesteśmy świadkami...

Ani te słowa ani późniejsza żarliwa obrona nic nie pomogły. Zostałem skazany dwukrotnie na karę śmierci. Za zabójstwo Strelczuka, co było prawdą i za strzelanie do policji — co było kłamstwem. Za działalność antyrządową na 15 lat więzienia. W sumie kara śmierci.

Cele skazańców w więzieniu wileńskim były koszmarne. Zgodnie z prawem powinienem był wrócić do szpitala, ale naczelnik więzienia doszedł do wniosku, że nie warto się patyczkować z człowiekiem, skazanym na szubienicę. Obolały i zmęczony, dręczony samotnością, oczekiwałem na kres mego życia. Ale na wolności zaczęła się walka o to życie skazańca. Nie tylko w Wilnie i w innych miastach Polski, ale także w Związku Radzieckim, Czechosłowacji, Francji robotnicy urządzali masowe demonstracje w mojej obronie. Sprawa trafiła najpierw do Sądu Apelacyjnego, potem do Sądu Najwyższego. Nie z pobudek humanitarnych, ale pod presją opinii publicznej zamieniono mi karę śmierci na dożywotnie ciężkie więzienie.

Przerzucany z jednego miejsca na drugie, trafiłem wreszcie do Rawicza. Tu spotkałem wspaniałych ludzi: Mariana Buczka, Pawła Findera, Marcelego Nowotkę, Alfreda Lampe, Jana Turlejskiego i innych.

Ciężka zima 1938 r. była dla nas wszystkich koszmarem. Głód i zimno niszczyły resztki sił. Ale pomagali mi polscy towarzysze. To Buczek za swoje pieniądze kupował dla mnie tran, to Finder i inni dzielili się ze mną ostatnią kromką chleba. Dzięki nim przetrwałem ten ciężki okres. Z miłością i rozrzewnieniem wspominam do dziś polskich towarzyszy. To razem z nimi w 1939 r. wyrwałem się z Rawicza. Wielu z nich później zginęło w słusznej walce o wolność ludu polskiego, z niektórymi spotykałem się w okresie walk partyzanckich.

Często odwiedzam Polskę i cieszę się, że walka polskich komunistów, że nasza wspólna walka nie poszła na marne.

O GALERII DREZDEŃSKIEJ POLEWOJU I FADIEJEWIE

(Dokończenie ze str. 3)

czył już obrady, ale mówiono, że lada chwila wygłosi dla nich specjalne przemówienie Lenin. Możliwości posłuchania Lenina oczekiwaliśmy w podniosłym nastroju, a nawet, przyznaję, traktowaliśmy to jako zasłużoną nagrodę za nasze działania pod Kronsztadem.

I rzeczywiście, wkrótce w sali Świerdłowskiej Lenin wygłosił nam informację na temat zastąpienia systemu obowiązkowych dostaw żywności przez system podatku żywnościowego; było to w gruncie rzeczy powtórzenie głównego referatu jaki wygłosił na zjeździe.

W przepełnionej sali wielu było rannych w bandażach.

Iljicz zwracał się wprost do nas, a my słuchaliśmy go podwójnie zadowoleni: że wykonaliśmy nasze zadanie w Kronsztadzie, że siedzimy tu żywi i zdrowi i słuchamy Lenina. Wyczuwaliśmy, że dla zrealizowania linii, jaką wytyczał referat Lenina, czeka nas jeszcze uporczywa walka i że szczególnie zdecydowanie trzeba będzie walczyć z trockistami. Dyskusja z nimi rozgorzała jeszcze przed zjazdem.

Po referacie Lenina ktoś zaproponował, żeby zrobić zdjęcie. Włodzimierz Iljicz chętnie się na to zgodził, wyszliśmy więc z budynku rządowego na ulicę i tu sfotografowaliśmy się.

Znowu jednak wysłano mnie na Daleki Wschód; wróciłem do dywizji, walczyłem tam dopóki nie skończyliśmy z całą białogwardyjszczyzną i dopiero w 1923 roku trafiłem wraz z 17 korpusem przymorskim z Dalekiego Wschodu na Ukrainę.

Mniej więcej w tym czasie — być może trochę później — przeczytałem w jakimś czasopiśmie pierwszą drukowaną pracę Fadiejewa. Ale dopiero po ukazaniu się „Klęski" dowiedziałem się, że nie znany mi dotychczas pisarz to ten sam Bułyga, którego dobrze znałem.

„Klęska" wywarła na mnie, jako na człowieku, który znał charakter wojny domowej na Dalekim Wschodzie, silne wrażenie swoją prawdziwością, przypomniała mi wielu ludzi, z którymi się spotykałem.

Później, kiedy uczyłem się w Akademii imienia Frunzego, przypadło mi w udziale wygłosić referat na temat „Klęski". Trzeba przyznać, że zrobiłem to z ogromnym wzruszeniem i pozwoliłem sobie na pewne osobiste wspomnienia o autorze jako o komisarzu brygady i delegacie na X zjazd.

W ciągu dwudziestolecia między wojną domową a Wielką Wojną Narodową spotkałem się z Fadiejewem tylko jeden raz, na jednym ze zjazdów Partii, i to mimochodem; nie pamiętam już dlaczego tak się stało.

I oto Wielka Wojna Narodowa. Dowodzę 19 armią. Rozgorzały walki pod Smoleńskiem i na kierunku Jarcewa. W tym czasie przyjechało do mnie trzech pisarzy: Aleksander Fadiejew, Michaił Szołochow i Jewgenij Pietrow.

Spotkanie nasze w tych tak trudnych dniach było, moim zdaniem, ciekawe. Pisarzom przyniosło pożytek, ponieważ zobaczyli wojnę, mnie zaś — ponieważ odczułem, iż kraj zdaje sobie sprawę, że nie jest nam łatwo, i oto najlepsi jego pisarze przychodzą do nas, żołnierzy, idą na pierwszą linię, do ugrupowań bojowych. Nie taję, że stanowiło to dla nas wtedy ogromną pomoc moralną. Pomijając wszystko inne potwierdzało, że przodująca inteligencja radziecka gotowa jest do końca dzielić los swego narodu i że wierzy w ostateczne zwycięstwo.

Odjeżdżając, wszyscy trzej obiecali napisać o swoich spotkaniach z żołnierzami 19 armii. Co prawda obietnicę tę spełnił tylko Jewgenij Pietrow, który zamieścił w „Ogońku" bardzo ciepłą korespondencję.

Po raz drugi spotkałem się z Fadiejewem zimą 1942 roku, kiedy dowodziłem Frontem Kalinińskim. Kalinin był już zdobyty. Aleksander Aleksandrowicz przyjechał do mnie na front w toku kontynuacji operacji zaczepnej.

Spotykałem Fadiejewa również po wojnie, ale świadomie ograniczam się tutaj tylko do wspomnień związanych z dwiema wojnami: domową i narodową.

Iwan Koniew

TAJGA LUDZIE MEGAWATY

126-metrowej wysokości zapora przegrodziła koryto Angary. U podnóża tamy — hala generatorów największej obecnie na świecie elektrowni wodnej, o mocy 4500 MW.

(Dokończenie ze str. 1)

będziemy dopiero na obiad. Przed zaśnięciem o pięć godzin do przodu przesuwam więc wskazówki zegarka.

Mój sąsiad pokrzepia się snem przed czekającą go batalią o reflektory, mnie również nuży monotonny gwizd odrzutowych silników. W głowie wiruje jakaś nieokreślona wizja gigantycznej zapory zagubionej wśród tajgi, a przed zapadnięciem w sen odnotowuję jeszcze ostatnią natrętną myśl: ile czasu potrzebowali na swoją podróż w konnych kibitkach powstańcy z 1863 roku...

* * *

Gospodarcze, naukowe i kulturalne centrum Wschodniej Syberii, półmilionowe miasto nad majestatyczną Angarą, otoczony tajgą Irkuck. W herbie ma jeszcze wymarłego już syberyjskiego tygrysa niosącego w zębach sobola, pamiątkę czasów, w których egzystencja miasta i życie jego mieszkańców oparte były na handlu i mnogości buszującej w tajdze zwierzyny. Czworonogi pozostały wprawdzie nadal i jak dawniej padają od kul myśliwych sobole, niedźwiedzie i łosie, ale Irkuckie „dziś" to przede wszystkim wielki i różnorodny przemysł.

Co do temperatury, stewardessa miała dobre informacje. Samo południe, ale późnowrześniowe syberyjskie słońce nie miewa zbyt wysokich lotów. Przydaje wspaniałych odcieni żółtym brzozom, wydobywa plamy zielonych domków o specyficznej, „koronkowej" architekturze, ale mimo bezchmurnego nieba, nie daje zbyt wiele ciepła. Mimo wszystko, mam jednak sporo szczęścia — jeszcze wczoraj lało tu jak z cebra, a pogoda ustaliła się dopiero w ciągu nocy.

Z irkuckiego lotniska jedzie się do centrum miasta przez stare uliczki, wśród drewnianych, bliźniaczo podobnych domków, które dalej ustępują miejsca murowanym gmachom i szerokim, asfaltowym ulicom. I w śródmieściu spotyka się jednak sporo budynków z okrągłych modrzewiowych bierwion, bogato zdobionych, z obowiązkowymi tu okiennicami. Wszystko to rozciągnięte na wielkiej przestrzeni, poprzetykane ogrodami, nie liczące się zupełnie z terenem pod miejską zabudowę. Na każdej ulicy, na każdym niemal placu, stare, stateczne domy pamiętające jeszcze chodzących pod ich oknami dekabrystów, sąsiadują z nowymi konstrukcjami, z których dopiero co opadły skorupy rusztowań. Nawet te najnowsze mieszkalne bloki, powstające w Irkucku jak grzyby po deszczu, różnią się jednak od naszych, europejskich domów. Stosunkowo małe okna i spadziste, wytrzymujące największe opady śniegu dachy, to haracz płacony surowemu syberyjskiemu klimatowi.

Na ulicach miasta, które przemierzam w gorączkowym pośpiechu, aby nie uronić niczego, co warte jest obejrzenia, doznaję swoistego zawodu. Poza licznymi skośnookimi twarzami należącymi do Buriatów lub Ewenków zamieszkujących okolice Bajkału, nic nie zdradza położenia Irkucka w centrum azjatyckiego kontynentu. Ubiory przechodniów, sklepowe witryny, tłumy przed gmachami teatrów i sam rytm wielkomiejskiego życia, nie zgadzają się z tkwiącym w wyobraźni, książkowym portretem dalekiej Syberii. Polowanie na azjatycką egzotykę odkładam więc do wyjazdu w głąb tajgi, do rozsianych w niej buriackich wsi i do spotkania z... Bajkałem, postanawiając póki co przypatrzeć się bliżej miastu.

Wśród siedemdziesięciu zakładów przemysłowych Irkucka prym wiedzie duma tego miasta, pierwsza na Angarze, wielka elektrownia wodna. Zbudowana w latach 1950—1958, posiada moc 660 megawatów i choć dziś jest już ubogą krewną przy swej brackiej siostrzycy, odgrywa w gospodarce obwodu irkuckiego znamienitą rolę. To z jej generatorów płynie energia elektryczna do licznych fabryk obrabiarek, zakładów urządzeń wielkopiecowych i wielkiej wytwórni prefabrykatów budowlanych.

Dominuje jednak w Irkucku przemysł lekki, spożywczy i drzewny, czerpiący surowiec z nieprzebranych bogactw tajgi. 4 miliony par obuwia, 9 tysięcy ton prasowanej w małe cegiełki herbaty, 14 tysięcy ton makaronu i 34 tysiące ton mydła, opuszczają co roku fabryki tego miasta. Zresztą wyliczanie przemysłowych walorów syberyjskiej metropolii trwałoby zbyt długo, podobnie jak próba odnotowania wszystkich teatrów, kin i licznych placówek kulturalnych, gęsto rozsianych na ogromnym obszarze miejskiego organizmu... Warto natomiast wspomnieć, że stolica Wschodniej Syberii ma aż 7 wyższych uczelni, a wśród nich założony w roku 1932 Irkucki Instytut Politechniczny, miejsce studiów 22 tysięcy młodzieży!

Czas jednak żegnać Irkuck, miasto pięknych rewolucyjnych tradycji, carskie niegdyś więzienie tysięcy najwartościowszych ludzi, a wśród nich wielu wybitnych Polaków, do dziś wspominanych tu z szacunkiem i sentymentem.

Brzuchaty AN-10 szybko zostawia za sobą dymiące kominy. Ich miejsce zajmuje monotonna, żółto-zielona przestrzeń tajgi, błyszcząca chwilami szeroką wstęgą Angary, wiodącą podobnie jak kurs samolotu — na północ.

Za godzinę lądowanie w Bracku!

* * *

Trzynaście lat temu była tu głucha tajga, w której Angara pokonywała niezliczone skalne progi, zagradzające jej drogę do Jeniseju. Nad rzeką przycupnęło przed trzystu laty maleńkie osiedle, efekt ówczesnej syberyjskiej wyprawy carskiego mołojca, kozaka Perfiliewa i w stanie bodaj nie zmienionym przetrwało w głuszy przez trzy stulecia. Nie wiedzieć czemu, chociaż stosunki między miejscowymi plemionami Tungusów i Buriatów, a przybyszami z zachodu nie układały się na sposób braterski, osadę nazwano Brackiem i tak już miało pozostać aż do dni wielkiej świetności tego azjatyckiego zakątka.

Pierwszą zapowiedzią owej świetności było dwunastu śmiałków, którzy przepędziwszy włóczące się w okolicy niedźwiedzie, nad urwistym brzegiem rzeki rozbili swoje namioty. Uzbrojona w naukowe instrumenty czołówka współczesnej cywilizacji miała dokładnie zbadać teren pod przyszłą zaporę wodną i utorować drogę tysiącom jej budowniczych. Przyszłość Bracka, nakreśloną w wielkim planie gospodarczym, przypieczętowały wyniki przeprowadzonych na miejscu prac badawczych: człowiek zmierzy się z tajgą!

Do rosnącego z każdym dniem miasteczka namiotów i budowanych w pośpiechu baraków zjechali przedstawiciele 63 narodowości zamieszkujących Kraj Rad. Miarą podjętego przez nich wysiłku był nie tylko ogrom technicznego przedsięwzięcia. Bracki gigant energetyczny miał powstać w dzikim, surowym kraju, z dala od ludzkich skupisk i zaopatrzeniowych baz, przy trzaskających mrozach, wśród śnieżnych zamieci, niewygód i niedostatku. Przez kilka lat życie tych ludzi miała bez reszty wypełniać walka z rzeką, tajgą, klimatem i własną słabością. Miejsce pokonanych, uciekających byle dalej od brackiego piekła, zajmowali nowi przybysze. Raz uruchomiona machina, nigdy już nie zwolniła swoich obrotów.

Pierwsze prace na terenie przyszłej elektrowni rozpoczęto podczas surowej zimy 1956 roku. Skalny kanion, przez który przeciskała się w tym miejscu Angara, metr po metrze przegradzano ażurową konstrukcją ze stali — kośćcem przyszłej zapory. W trzy lata później ruszyła lawina betonu. Nieprzerwanym strumieniem, przez pięć lat bez względu na porę doby i roku, płynna masa zastygała w kształt gigantycznej tamy. W roku 1964 całkowicie zamknięto gotową już zaporę — 5 milionów metrów sześciennych betonu i tysiące ton stali zagrodziło drogę Angarze! Zwycięski człowiek patrzył ze szczytu budowli, jak wstrzymana w swym biegu rzeka zalewa tysiące kilometrów kwadratowych tajgi, gromadząc w powstającym zbiorniku energię do poruszania turbin i generatorów. Dziś Morze Brackie, bo tak dla jego rozmiarów nazwano zalew, ciągnie się na przestrzeni 425 kilometrów i mieści ogromną masę 169 kilometrów sześciennych wody — tysiąc razy więcej niż zbiornik elektrowni w Goczałkowicach!

Bliższą znajomość z bracką GES (powszechnie używany skrót od rosyjskiego słowa „gidroelektrostancja") zawieram w przeddzień jej oficjalnego przyjęcia przez komisję państwową. Z nieocenionym przewodnikiem i informatorem, jednym z nestorów wielkiej budowy — inżynierem Anatolem Gribłowem, stoimy na koronie zapory, pomiędzy przebiegającymi tędy torami kolei elektrycznej. Za plecami czuję ogromną przestrzeń zalewu, próbując wyobrazić sobie straszliwe ciśnienie wywierane na tamę przez te kilometry sześcienne wody. Każdy centymetr kwadratowy betonowej powierzchni dźwiga na sobie, bagatelka — 350 kilogramów, ale wytrzymałość krytyczna budowli jest ponad dwukrotnie wyższa! Odetchnąłem z ulgą. Stojąc na wierzchołku tej bryły betonu, niezbyt przyjemnie przecież pomyśleć, że rozgniewana Angara zdoła nagle uwolnić się z nałożonych jej przez człowieka więzów...

Tama szczelnie zamyka jednak skalisty kanion: wysoka na 126 metrów, u podstawy ma grubość stumetrową. W tej przeszkodzie nie do przebycia, „wspaniałomyślny" człowiek pozostawił jednak rzece siedmiometrowej średnicy sztolnię, przez którą Angara co sekundę wciska w głąb zapory... 3 600 metrów sześciennych wody. Z wielką siłą pada ona na stutonowe koła robocze osiemnastu turbin i okupiwszy wolność wykonaną pracą, wypełnia łożysko rzeki już po drugiej stronie tamy.

Generatory brackiej GES, po odbyciu dalekiej drogi z leningradzkich zakładów, zmontowano w długiej hali u podnóża zapory. O wielkości każdego z nich świadczy choćby waga samego rotora — części wirującej z prędkością 52 obrotów na sekundę: w każdym z osiemnastu zespołów waży on 600 ton! Wszystkie razem posiadają niewiarygodną moc 4 500 megawatów, znacznie przewyższającą moc wszystkich polskich elektrowni cieplnych, z ogromnym Turowem włącznie.

W pomieszczeniu centralnej sterowni przeżywam jeszcze jedno zaskoczenie: dzięki pełnej automatyzacji ta największa obecnie na świecie elektrownia wodna, zatrudnia zaledwie... 50 pracowników, a na każdej zmianie nadzoruje jej pracę tylko 8 inżynierów i techników.

Wielotysięczna armia ludzi zakończyła swe kilkuletnie dzieło. Elektrownię oficjalnie przekazano do eksploatacji, stwierdzając przy sposobności, że w dniu swego formalnego otwarcia jest ona inwestycją w pełni zamortyzowaną! Tajemnica pozornego paradoksu jest prosta: poszczególne zespoły brackiej GES włączano do systemu energetycznego już od roku 1961, w miarę postępu robót montażowych. Dziś z wielkiej elektrowni na Angarze płynie więc energia elektryczna „za darmo", przewodami wysokiego napięcia dociera do Uralu i bliska jest chwila, kiedy zasili europejski system energetyczny. Przy siedmiogodzinnej różnicy czasu pomiędzy Brackiem i na przykład Warszawą, oznaczać to będzie koniec wszelkich kłopotów z wieczornymi „szczytami".

* * *

Założona przed 326 laty przez kozaka Perfiliewa maleńka osada Brack, już nie istnieje. Na zawsze zniknęła pod wodami spiętrzonej Angary i tylko jedna ze starych warownych baszt, przeniesiona na bezpieczne miejsce, stoi wśród tajgi, często odwiedzana przez turystów.

Na brzegu Morza Brackiego wyrasta natomiast nowe miasto. W dziewięciu rozrzuconych w tajdze osiedlach, które w przyszłości złączą się w jeden organizm, żyje i pracuje 160 000 ludzi. Mają tu do dyspozycji niemal wszystko, co może dać człowiekowi współczesna cywilizacja, mają ponadto rzecz niewspółmiernie większą — nie dającą się wymierzyć satysfakcję z wielkiego dzieła swoich rąk.

Patrząc z samolotu na znikający mi z oczu, rozłożony wokół zapory nowy Brack, przypominam sobie irkuckie poszukiwania azjatyckiej egzotyki. Znalazłem ją chyba tu, w zupełnie innych wymiarach i innym kształcie...

Andrzej Malinowski

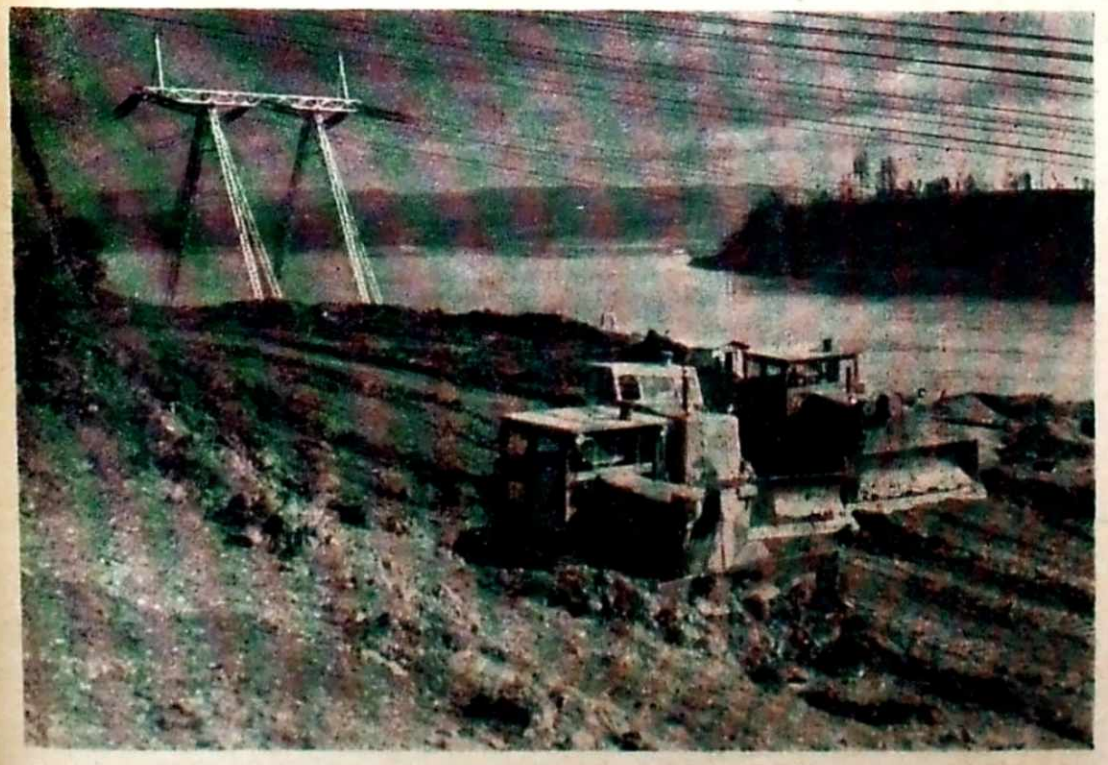

Liniami wysokiego napięcia energia elektryczna z Bracka płynie aż do Uralu. (zdjęcia autora)

Kamena str. 9

ONI zwyciężyli

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Maksym Gorki: „Wrogowie". Scena zbiorowa z aktu III.

W KOŃCU 1904 r. Maksym Gorki, sławny już autor romantycznych opowiadań o włóczęgach, poczytnej powieści „Foma Gordiejew", dramatu „Mieszczanie", a przede wszystkim „Na dnie", sensacji teatralnej w kraju i za granicą, powiedział przy okazji ostrej wymiany zdań na premierze „Letników": „Sztuka nieszczególna", ale jestem zadowolony, trafiłem dokąd celowałem". Dwa lata później, w liście do słynnego publicysty Amfiteatrowa, powie z tymże samokrytycyzmem wielkiego człowieka: „Napisałem trzyaktową sztukę „Wrogowie" — ujdzie... Ale to jeszcze nie ta dobra sztuka, którą kiedyś napiszę". Napisał ją w roku 1932 tę swoją najlepszą, doskonałą — „Jegora Bułyczowa".

Sceny dramatyczne „Wrogowie" powstawały w aurze raczej nie sprzyjającej troskliwemu cyzelowaniu formy, bo w wirze gwałtownej walki ideologicznej, w jaką Gorki zaangażował się natychmiast po przybyciu do Nowego Jorku na początku maja 1906 r. Wiadomo, że osaczyły go tam chmary dziennikarzy i impresariów różnego autoramentu. Ulegając amerykańskiemu tempu udziela wywiadu po wywiadzie, no i pisze, pisze, pisze. Wysyła pokaźne sumy na partię i liczne artykuły, opowiadania, pamflety do wydawnictwa. W ciągu zaledwie kilku tygodni: „Król, który wysoko dzierży swój sztandar", „Urocza Francja", „Car rosyjski", „Milioner", „Panowie życia", „Kapłan moralności", „Miasto Żółtego Diabła", „Królestwo nudy", „Mob", „Charlie Forster". Uchodzi w Stanach za anarchistę, za osobnika, wyzutego z poczucia moralnego, a zarazem prasa tamtejsza błaga go o artykuły. Jest atakowany bez skrupułów i sam bezlitośnie atakuje. „Ach, ciekawy kraj! Co te diabły wyprawiają, jak pracują, ile w nich energii, ignorancji, zarozumialstwa, barbarzyństwa! Zachwycam się i równocześnie klnę, zbiera mi się na mdłości, a przecie diabelnie mi wesoło...".

Nawet w Adirondack, skąd do najbliższego miasta 18 mil, w górzystym zakątku wybranym na miejsce względnego wypoczynku przed wyjazdem na Capri, Gorki żyje w nieustającym podnieceniu. Spotyka się między innymi z setką fabianistów. Myśl pracuje „bardzo energicznie", lecz w pewnym momencie powstaje świadomość: „Całe to moje pośpieszne pisanie ma niewielką wartość". Oczywiście mowa o wartości artystycznej.

Gorączkowy pośpiech odbił się też na kształcie scenicznym „Wrogów". Brak im spoistości, wartkiej akcji. Akt drugi jest niejako medytacją i dyskusją nad trumną, w trzecim mamy sceny dygresyjne, prowadzące do nikąd (Jakub — Tatiana, Tatiana — żandarm Bobojedow). Sztuka zaspokajała doraźną potrzebę społeczno-polityczną, potrzebę przekonania świata o konieczności, o nieuchronności rosyjskiej rewolucji. Uzasadnienie tej tezy było celem podróży pisarza do Stanów Zjednoczonych i pobyt w tym kraju arcykapitalistycznym stał się bodźcem do szybkiego napisania takiego utworu scenicznego, jakim są „Wrogowie".

Lecz mimo doraźnego „zamówienia politycznego" sztuka nie jest schematyczna. Ożywiał ją nie tylko talent pisarski, ale i to, że nabrzmiała ona myślami, które od dawna nurtowały Gorkiego, leżały na magistrali jego poglądów socjalnych, powodowały stale jego postępowaniem. Bezpośrednio po tragicznych wydarzeniach rewolucji 1905 roku dyskusje „Wrogów" musiały pasjonować społeczeństwo.

Z równą siłą mogłyby dzisiaj oddziaływać na publiczność krajów kapitalistycznych. Czy zachowują swą funkcjonalność d l a n a s po sześćdziesięciu latach? Chyba w znacznie mniejszym stopniu, skoro przepowiedziane przez autora z proroczą mocą przekonania zwycięstwo klasy robotniczej („Tatiana: Ci ludzie zwyciężą!") stało się u nas faktem dokonanym i zawarte we „Wrogach" idee są przez nas gruntownie przyswojone. Dziś oglądamy „Wrogów" raczej jako sztukę historyczną, podziwiając dalekowzroczność Gorkiego oraz mistrzostwo w kreśleniu postaci i wzajemnych ich stosunków, zwłaszcza reprezentantów przeciwstawnych klas: fabrykanci — robotnicy, a także „neutralnej" inteligencji, inteligencji „pasywnie-cnotliwej", do której pisarz miał wstręt.

Teatr im. J. Osterwy zadbał o godziwe wystawienie „Wrogów". Reżyser — kierownik artystyczny, **Kazimierz Braun**, który zdążył już poznać możliwości świeżo skompletowanego zespołu, tym razem uniknął szczęśliwie zasadniczych pomyłek w obsadzie, choć tu i ówdzie można by podyskutować z ustawieniem roli, czy z jakimś pociągnięciem. Do tych spornych należy np. „spojenie" w II akcie Kleopatry (**Wiesława Grochowska**), co sprzyja nadaniu jej scenie odcienia melodramatycznego, podczas gdy u Gorkiego Kleopatra zachowuje się po śmierci męża z premedytacją jak furia, by postawą tragicznej wdowy-mścicielki poprawić swoją złą sławę rozpustnicy. Zbyteczne też wydaje się jąkanie, wprowadzone prawdopodobnie w celu „odschematyzowania" postaci srogiego dyrektora fabryki, Michała Skrobotowa. Michał jest prawdziwy samą szczerością swych reakcyjnych przekonań i gwałtowność jego mogła być ukazana bez uciekania się do środków wyjątkowych, czego dowiódł **Jerzy Smyk** dynamiką gestu, ruchu i intonacji. Pewne wątpliwości nasuwa poza tym brat fabrykanta, Jakub, ucharakteryzowany przez scenografa (za przyzwoleniem reżysera?) jak postać z „Na dnie". Jakub jest skończonym alkoholikiem, zgoda, człowiekiem bezwolnym, jest z marginesu życia, ale jednak nie z jego dna, ma on jeszcze dość poczucia honoru, by sięgnąć po rewolwer. Niezależnie od przejaskrawienia cech upadku za pomocą zewnętrznej aparycji **Witold Zarychta** stworzył wierną, wzruszającą postać Jakuba.

(Dokończenie na str. 15)

Sztuka czasu rewolucji

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

NAJBARDZIEJ nawet pobieżne spojrzenie na dzieje sztuki nowoczesnej musi zatrzymać się na kilku nazwiskach Rosjan. Bo są to nazwiska znaczące, za którymi kryją się idee artystyczne ciągle żywotne w sztuce światowej: Malewicz, Tatlin, Gabo, Pevsner, Kandinsky... W wydanym w Paryżu w 1957 r. Słowniku Sztuki Abstrakcyjnej Michel Seuphor stwierdził autorytatywnie, że suprematyzm Kazimierza Malewicza jest do dziś najbardziej radykalnym rozwiązaniem na terenie twórczości abstrakcyjnej; potwierdzają to inni historycy i teoretycy sztuki nowoczesnej.

Początek działalności wymienionych artystów przypada na lata poprzedzające wybuch Rewolucji Październikowej. Wtedy właśnie, po 1910 roku zaczyna formować się awangarda rosyjska, która później poda dłoń bolszewikom. Rewolucja społeczna znajdzie wspólny język z przewrotem artystycznym.

Przed I wojną światową artyści rosyjscy przede wszystkim z a p o z n a w a l i się z nowymi prądami plastyki europejskiej. Sprzyjały temu liczne kontakty osobiste malarzy rosyjskich i francuskich oraz wystawy sztuki zachodniej urządzane w Moskwie i Petersburgu przez redakcje „Mir Iskusstwa" i „Zołotoje Runo". Równie istotnym faktem propagandowym były zbiory malarstwa nowoczesnego w Moskwie, ciągle pomnażane przez dwóch obrotnych i wybitnych handlarzy dziełami sztuki, Morozowa i Szczukina.

Z nowych prądów plastyki europejskiej szczególne zainteresowanie Rosjan wzbudzały kubizm i futuryzm, kierunki najbardziej wówczas rewolucyjne. Kubizm podniecał wyobraźnię bezceremonialnym potraktowaniem przedmiotu, sugerował możliwość rezygnacji z jakiegokolwiek przedstawiania czegoś lub kogoś. Futuryzm fascynował dynamiką, ruchem, odkryciem brutalnego piękna miasta, zwiastował jakieś ważne przemiany społeczne i kulturowe.

Kiedy więc w 1910 roku przywódca futurystów włoskich, Marinetti, przybył do Rosji celem propagowania reprezentowanego przez siebie kierunku, przyjęto go entuzjastycznie. Od tego momentu różnorodne ugrupowania awangardowe — literackie i plastyczne — przyjmują nazwę futurystów. Trzeba jednak zaznaczyć, że nazwa ta miała wówczas charakter raczej wywoławczy, symbolizujący wszystkie nowe tendencje artystyczne, bez względu na ich wzajemne sprzeczności. Zresztą program Marinettiego, ujawniający fascynację przemocą i wojną „jako jedyną higieną świata", nie znalazł całkowitej aprobaty. Od wielu jego założeń odżegnywał się zdecydowanie np. Majakowski i zbliżeni do niego poeci, początkowo zainteresowani głównie odnową słowa poetyckiego, skostniałego w rygorach od dawna powielanych konwencji. Jednak zasadnicze i pionierskie zmiany zarysowały się na obszarze plastyki, choć hasło obu gatunków sztuki było jedno: precz z przeszłością!

W Moskwie w 1910 r. Michał Łarionow zakłada grupę „Bubnowyj Walet" (Walet Karowy), skupiającą kilka wybitnych później postaci: m. in. Kazimierza Malewicza (którego ojciec był Polakiem) i Natalię Gonczarową, oraz propaguje swoją koncepcję malarstwa o nazwie „łuczyzm" (od słowa „łucz" — płomień). Przetwarzając inspiracje futuryzmu dochodzi wraz z Gonczarową w 1911 r. do abstrakcyjnych obrazów, zbudowanych z krótkich, urywanych pęków linii i geometrycznych barwnych płaszczyzn. Malewicz tworzy wtedy obrazy wykazujące wpływy kubizmu i futuryzmu.

Następnie Łarionow opuszcza grupę, zarzucając jej zbytnią kompromisowość, i zakłada nową, o prowokacyjnej nazwie „Ośli Ogon". W wystawie grupy uczestniczy także Malewicz, który następnie, w 1912 r., wraz z innymi futurystami rosyjskimi bierze udział w monachijskiej wystawie słynnego ugrupowania Der Blaue Reiter. Przy okazji Malewicz odwiedza Paryż, gdzie żywo interesuje się kubizmem. W Moskwie natomiast pokazuje swoje prace Picasso, Leger, Delaunay, Gleizes i Le Fauconnier.

Łatwo zauważyć, że nowa sztuka znalazła w Rosji gorących zwolenników i dogodne warunki asymilacji. Najważniejsze przecież, że nowatorskie prądy płynące do Moskwy i Petersburga z ośrodków zachodnioeuropejskiej myśli plastycznej zostały tu jakby przeredagowane i oczyszczone z pewnych elementów. W rezultacie zaczęły kształtować się tendencje, których autorzy nie zapierając się źródeł inspiracji zmierzali do sformułowania całkowicie oryginalnych programów estetycznych, poprzedzonych praktyką twórczą. Szczególnie znaczący okazał się rok 1913, kiedy to Malewicz na wystawie pn. „Tarcza" pokazał kompozycję nieprzedstawiającą, pomyślaną jako dekoracja do opery futurystycznej „Zwycięstwo nad słońcem". Prawdopodobnie wtedy artysta pokazał też słynny czarny kwadrat na białym tle, który w prostej linii prowadził do suprematyzmu, a więc do całkowitej negacji sztuki przedstawiającej rzeczywistość zewnętrzną. „To, co wystawiłem, to nie był „pusty kwadrat", ale odczucie bezprzedmiotowości" — napisze później.

Rok poprzedzający wybuch I wojny światowej charakteryzował się niezwykłym wprost tasowaniem, rodzeniem się i zanikaniem przeróżnych orientacji artystycznych i „artystycznych". Według spisanej przez kronikarza relacji Diagilewa, organizatora baletów rosyjskich w Paryżu, opowieści nieco chyba koloryzowanej, lecz po części zgodnej na pewno z ówczesną sytuacją, życie artystyczne było nerwowe i malownicze:

To spadło na malarzy ikon jak deszcz ortolanów na lud zjadający bobu. Większość wpadła w szał, który współzawodnictwo posunęło aż do paroksyzmów. No i wszyscy ci spokojni ludzie zamienili się w demony. Dwadzieścia szkół roździ się w jednym miesiącu. Futuryzm, kubizm to antyk, prehistoria. Po trzech dniach zostaje się pompierem. Mototyzm detronizuje automotyzm, żeby zostać przezwyciężonym przez trepidyzm i wibryzm, które zaraz przestają istnieć, gdyż powstaje planizm, serenizm, eksacerbizm, omnizm i neizm. Księżne podziwiają na strychach płótna neoerystyczne w blasku czterech świec ustawionych na podłodze. A wielcy posiadacze pobierają w domu lekcje matachronizmu. Rezygnuję z powtarzania wam nazw rosyjskich wszystkich tych szkół, mogę was natomiast zapewnić, że najmniejsi artyści są szczerzy i umierają za swoją wiarę równie szlachetnie jak bohaterowie Zoli.

W takim klimacie pojawia się zapowiedź najszerszego nurtu sztuki radzieckiej, opartego na racjonalistycznych podstawach konstruktywizmu, zainicjowanego przez W. Tatlina wystawieniem abstrakcyjnych reliefów, pokrewnych genetycznie kubistycznym collages. W tym czasie Tatlin przyjaźnił się jeszcze z Malewiczem, razem pracowali i wystawiali swoje prace zbliżone do kubizmu. Wkrótce jednak po petersburskiej wystawie „Tramwaj W" drogi ich rozchodzą się ostatecznie: ekspozycja pn. „0.10", otwarta w Petersburgu w 1915 r., podzielona zostaje na dwie części: jedną wypełniają suprematystyczne obrazy Malewicza i pokrewnych mu artystów, w drugiej manifestuje swoją odrębność Tatlin i jego zwolennicy.

Zarysowujący się podział wewnątrz awangardy świadczył nie tylko o jej zróżnicowaniu ideowym, ale potwierdzał zarazem wzrastającą samoświadomość poszczególnych orientacji. Minął czas edukacji, artyści rosyjscy coraz pewniej poruszali się na gruncie wypracowanych przez siebie programów. Kiedy zimą 1914 r. Marinetti po raz drugi odwiedził Moskwę, Majakowski i inni futuryści demonstracyjnie opuścili miasto.

NAFTA

IZAAK BABEL

NOWIN sporo jak zwykle... Szabsowicz dostał premię za rafinowanie ropy, chodzi tylko w zamorskich ciuchach, cała góra dostała awanse. Kiedy się o jego awansie dowiedziano, wszyscy nagle zrozumieli: ludzie rosną... Z tej też okazji przestałam się z nim widywać. Jak tylko „wyrósł" facet uświadomił sobie, że ona prawdy, które nam, zwykłym śmiertelnikom, są niewiadome, i wdał się w taką stuprocentowość i ortodoksję (ortoboks, jak mawia Charczenko), że ani przystąp... Zobaczyliśmy się przed dwoma dniami i ten pyta mnie, dlaczego mu nie winszuję. Odpowiadam: komu winszować — jemu czy władzy radzieckiej?... Zrozumiał, stulił uszy i powiada: „Zadzwońcie kiedyś"... Zaraz to doszło do szanownej małżonki. I wczoraj — telefon. „Kławdiusza, my teraz mamy przydział do konsumu dla kierownictwa, jeżeli potrzeba ci czegoś z bielizny..." odpowiedziałam, że spodziewam się doczekać światowej rewolucji ze swoim własnym przydziałem...

Teraz co do mnie. Dowiedz się zatem, że jestem kierowniczką biura Syndykatu Naftowego. Kroiło się to dawno, ale się wymawiałam. Moje argumenty — brak zdolności do roboty biurowej, no i chęć wstąpienia na politechnikę... Sprawę czterokrotnie stawiali na egzekutywie, trzeba było się zgodzić, teraz nie żałuję... Z tego miejsca widać jasno całe przedsiębiorstwo, coś niecoś udało się już zrobić, zorganizowałam ekspedycję na naszą część Sachalinu, rozszerzyłam prace poszukiwawcze, sporo czasu tracę na Instytut Naftowy. Zina jest przy mnie. Jest zdrowa, niedługo będzie rodzić, perypetii było sporo... Że jest w ciąży, Zina zawiadomiła swojego Maksa Aleksandrowicza (ja go nazywam Maks i Moritz, jak ta para z bajki Buscha) późno, już była w czwartym miesiącu. Zagrał zachwyconego, wycisnął na czole Ziny lodowaty pocałunek, a potem dał do zrozumienia, że jest w przededniu wielkiego odkrycia naukowego, że myśli jego dalekie są od codziennego życia, że nie sposób sobie wyobrazić czegoś mniej nadającego się do życia rodzinnego niż on, ale że oczywiście ani myśli od czegokolwiek się wymigiwać i tak dalej, i dalej, i dalej... Zina, jako kobieta dwudziestego wieku, rozpłakała się, ale pokazała charakter... Całą noc nie spała, krztusiła się, wyciągała szyję. Skoro świt, nie uczesana, straszna, w starej kiecce poleciała do jego biura, nagadała mu, że prosi, aby zapomniał o tym, co wczoraj mówiła, że dziecko usunie, ale nigdy tego ludziom nie wybaczy... Wszystko to dzieje się na korytarzu Gipromezu, w największym ścisku. Maks i Moritz to czerwieni się, to blednie i mamrocze:

— Trzeba się stelefonować, umówić...

Zina nawet nie dosłuchała, przyleciała do mnie i oznajmia:

— Jutro do pracy nie idę!

Mną aż zatrzęsło, krępować się nie uważałam za stosowne i rąbnęłam jej kazanie jak się patrzy... Pomyśleć tylko, dziewucha dawno ma swojego trzydziestaka, urodą nie grzeszy, dobry chłop nawet się na nią nie wysmarka, zdarzył się ten Maks i Moritz (i to nie na nią poleciał, tylko na inną rasę — na przodków arystokratów), złapałaś od niego ten upominek, to trzymaj, chowaj... Mieszańcy z żydowskich ojców doskonale się udają, to znana rzecz — spójrz tylko, jaki egzemplarz jest u Ani — zresztą, kiedy ma rodzić, jeżeli nie teraz, kiedy mięśnie brzucha jeszcze działają, kiedy jeszcze można dziecko wykarmić?! Na wszystko — jedna odpowiedź: „Ja nie mogę tak, żeby moje dziecko nie miało ojca" — to znaczy dziewiętnasty wiek wciąż trwa, papcio — generał wyjdzie z gabinetu z ikoną i wyklnie (albo bez ikony — nie wiem, jak to tam było z tym wyklinaniem), a dziewki służebne już tam zaniosą niemowlę do podrzutków albo na wieś na garnuszek...

— Zina, to bzdury — powiadam do niej — inne czasy, inne pieśni, obejdziemy się bez Maksa i Moritza...

Nie zdążyłam skończyć, jak wezwano mnie na zebranie. W tym momencie stanęła na ostrzu noża sprawa Wiktora Andrejewicza. Akurat nadeszła decyzja KC w sprawie zmiany poprzedniego wariantu pięciolatki i konieczności doprowadzenia w 1932 roku wydobycia ropy do czterdziestu milionów ton. Opracowanie materiałów zlecono planistom, to znaczy Wiktorowi Andrejewiczowi. Zamknął się u siebie, potem wzywa mnie i pokazuje list. Adres — do Prezydium Wszechzwiązkowej Rady Gospodarki Narodowej. Treść: zrzekam się odpowiedzialności za dział planowania. Cyfrę czterdziestu milionów ton uważam za oznaczoną dowolnie. Więcej niż jedna trzecia ma pochodzić z obszarów jeszcze nie zbadanych, co oznacza dzielenie skóry na niedźwiedziu nie tylko nie ubitym, ale jeszcze nawet nie wytropionym... Dalej, z trzech rafinerii nafty czynnych obecnie przeskakujemy wedle nowego planu na sto dwadzieścia w ostatnim roku pięciolatki. I to przy niedoborze metalu i w sytuacji, gdy skomplikowana budowa rafinerii nie jest przez nas opanowana... List kończy się tak: podobnie jak wszyscy śmiertelnicy jestem zwolennikiem szybkiego tempa, ale poczucie obowiązku... i tak dalej, i tak dalej. Przeczytałam. Ten mnie pyta:

— Posłać czy nie?

Ja powiadam:

— Towarzyszu, wasze argumenty i całe nastawienie mi nie odpowiadają, ale nie jestem w stanie radzić komukolwiek, by ukrywał swoje poglądy...

List został wysłany. Rada Gospodarki — huzia. Zwołano zebranie. Z ramienia Rady przyjechał Bagrinowski. Na ścianie zawieszono mapę Związku z nowymi źródłami, z walcowniami rur, z rurociągami dla ropy i pochodnych; jak powiedział Bagrinowski: Kraj z nowym krwiobiegiem...

Na zebraniu młodzi inżynierowie z gatunku „wszystkożernych" domagali się rzucenia Wiktora Andrejewicza na kolana. Przemawiałam, mówiłam 45 minut. „Nie mając wątpliwości co do wiedzy i dobrej woli profesora Kłossowskiego i nawet chyląc przed nim głowę, odrzucamy fetyszyzm cyfr, któremu ulega" — oto myśl, której broniłam.

— Odrzućmy tabliczkę mnożenia, jako zasadę myśli państwowej... Czy można było na podstawie gołych cyfr powiedzieć, że wypełnimy zadania naftowej pięciolatki, jeśli chodzi o wydobycie, w ciągu dwóch i pół lat? Czy można było na podstawie gołych cyfr powiedzieć, że z początkiem 1931 roku zwiększymy eksport dziewięciokrotnie i wysuniemy się na drugie miejsce po Stanach Zjednoczonych?

Po mnie wystąpił Muradian z krytyką kierunku rurociągu Morze Kaspijskie — Moskwa. Wiktor Andrejewicz w milczeniu robił notatki. Na policzkach wykwitł mu starczy rumieniec, rumieniec żylnej krwi... Żal mi się zrobiło, nie dosłuchałam do końca, poszłam do siebie: A tu Zina wciąż siedzi w gabinecie ze splecionymi dłońmi.

— Będziesz rodzić — pytam — czy nie?

Ta patrzy i nic nie widzi, chwieje się, zaczyna mówić, ale jak bez głosu.

— Kławdiusza, nas jest dwoje — powiada mi — ja i moje nieszczęście, jak by mi garb przyklejono.... Jak prędko się wszystko zapomina, proszę, już nawet nie pamiętam, jak to się żyje bez nieszczęścia.

Mówi to, a nos jej się jeszcze bardziej wydłużył, poczerwieniał, chłopskie skuły (u szlachty zdarzają się takie skuły) sterczą. Maks i Moritz, tak sobie pomyślałam, nie bardzo by się rozpalił, gdyby cię w takim stanie zobaczył... Rozwrzeszczałam się i przepędziłam ją do kuchni, do skrobania kartofli.... Nie śmiej się, jak przyjdziesz, to i ciebie zaprzęgniemy. Na projektowanie zakładów w Orsku dano takie terminy, że projektownia i kreślarze siedzą dzień i noc, na obiad Wasjena naskrobie im kartofli ze śledziem, nasmaży jajecznicy — i dalej rąbią... Poszła więc do kuchni. Po minucie słyszę krzyk. Przylatuję — a tu moja Zina na podłodze, bez tętna, białka widać... Natyraliśmy się przy niej, że niepodobna: Wiktor Andrejewicz, Wasjena i ja. Wezwało się lekarza. Do przytomności wróciła w nocy, dotknęła mojej ręki, ty znasz Zinę, tę jej niezwykłą delikatność... I widzę, że wszystko w niej przepaliło się w ciągu tych godzin i wszystko narodziło się od nowa... Nie wolno było tracić czasu...

— Zinka — powiadam — więc zadzwonimy do Rozy Michajłowny (ona po dawnemu jest u nas nadworną specjalistką od tych rzeczy), że rozmyśliłaś się, że nie przyjdziesz... Czy można zadzwonić?

Dała znak, że można, idź. Na kanapie obok niej siedział Wiktor Andrejewicz, wciąż mierzył tętno. Odeszłam, ale słyszę, co mówił:

— Mam 65 lat. Zino, mój cień coraz słabiej kładzie się na ziemi. Jestem uczonym, starym człowiekiem i oto Bóg (wciąż ten Bóg) tak zrządził, że ostatnie pięć lat mego życia przypada na tę — no, przecież wiecie — tę pięciolatkę. Teraz już do samej śmierci ani mi odpocząć, ani pomyśleć o sobie... I gdyby wieczorami nie przychodziła moja córka i nie klepała mnie po ramieniu, gdyby synowie nie pisali do mnie listów, to byłoby mi tak smutno, że nie da się powiedzieć. Zdecydujcie się na to dziecko, Zino, my z Kławdią Pawłowną obejmiemy patronat.

Staruszek sobie mruczy, a ja dzwonię do Rozy Michajłowny, że tak a tak, najmilsza Rozo Michajłowno, ta Muraszowa, co to miała przyjść jutro, to się jednak rozmyśliła... A w telefonie dziarski głosik:

— Świetnie, że się rozmyśliła, wręcz cudownie...

Nasza nadworna nic się nie zmieniła, jedwabna różowa bluzeczka, angielska spódnica, ondulacja, prysznice, gimnastyka, pełno gachów...

Zinę przewieziono do domu, okryłam ją dobrze, zaparzyłam herbaty. Spałyśmy razem — przy okazji popłakało się, wspomniało to, co nie trzeba, wszystko się obgadało i jakoś się zasnęło mieszając wspólne łzy... Mój „czart" siedział spokojnie, pracował, tłumaczył z niemieckiego techniczną książkę. Ty byś, Daszo, „czarta" nie poznała — spokorniał, nastroszył się, przycichł. Mnie to męczy... Cały dzień zgina grzbiet w Gosplanie, a wieczorem — te tłumaczenia.

— Zina będzie miała dziecko — powiadam mu. — Jak ma być chłopcu na imię? (O dziewczynce nikt nawet nie myśli). — Zdecydowaliśmy się na Iwana — Jurkowie i Leonidy — to już się uprzykrzyło... Będzie z niego ani chybi kawał hultaja, z ostrymi zębami, zębów będzie miał za sześćdziesięciu. Paliwa mu naszykowaliśmy dość, będzie woził panny choćby do Jałty, do Batumi, nie to, co za naszych czasów — na podmiejskie Wróble Góry... Do widzenia, Daszo. „Czart" napisze oddzielnie. Co u Ciebie?

Kławdia

...Skrobię tu sobie w biurze, nad głową rumor, tynk leci z sufitu. Nasz dom, jak się okazuje, jeszcze jest mocny, do dawnych trzech pięter dodajemy jeszcze cztery. Moskwa cała rozkopana, porżnięta rowami, zawalona rurami, cegłami, linie tramwajowe poplątane, wywijają słoniowymi trąbami przywiezione z zagranicy maszyny, ubijają grunt, łomoczą, czuć smołę, dym wali jak nad pogorzeliskiem... Wczoraj na Warwarskim placu widziałam jakiegoś chłopaka... Gęba szeroka, czerwona, golona głowa aż błyszczy, ruska koszula bez pasa, sandały na bosą nogę. Skakaliśmy z nim z kępy na kępę, z górki na górkę, co się człowiek wygramoli, to znów pada na pysk...

— O, teraz cała bitwa się zaczęła — ten mi powiada — teraz, panienko, w Moskwie cały front, cała wojna...

Gęba dobra, uśmiecha zie jak dziecko. Wciąż jakbym go przed sobą widziała...

Tłum. Jerzy Pomianowski

O aktualności idei malarstwa abstrakcyjnego świadczy chronologia powstawania pierwszych dzieł nieprzedstawiających: Kandinsky'ego w 1910 r. w Monachium: Larionowa i Gonczarowej w 1911 r. oraz Malewicza i Tatlina w 1913 r. w Moskwie; Delaunaya i Kupki w 1911 r. oraz Picabii w 1913 r. na Zachodzie.

Wybuch Rewolucji Październikowej przyjęła awangarda z entuzjazmem. Nowy system społeczny otwierał nieograniczone perspektywy dla nowej sztuki, obiecywał jej setki tysięcy nowych odbiorców i bezpośredni udział w kształtowaniu socjalistycznej rzeczywistości. Hasła sztuki dynamicznej i wyzwolonej z balastu przeszłości, związanej z przemysłem i społecznie użytecznej zdawały się być zgodne z charakterem rewolucji socjalnej.

Do ogarniętego wojną domową kraju wracają wybitni i znani już wówczas artyści: Marc Chagall, który zostaje Komisarzem Sztuk Pięknych w akademii witebskiej, i Wassily Kandinsky, powołany do wydziału sztuki w Komisariacie Oświaty Ludowej. W 1918 r. w miejsce akademii moskiewskiej zostaje otwarty Państwowy Wyższy Zakład Artystyczno-Techniczny (Wchutemas), w którym stanowiska profesorskie obejmują Malewicz, Tatlin, Lissitzky, Kandinsky i Pevsner, niedawno przybyły wraz z bratem Nahumem Gabo z zagranicy. Nowa sztuka zdobyła zaufanie nowej władzy

W rewolucyjnej atmosferze coraz częściej słychać pytania o cele i funkcję sztuki. Odpowiedzi są różne, lecz wszyscy zgadzają się z potrzebą projektowania rzeczy użytecznych, przydatnych w życiu codziennym. Architektura, przemysł, propaganda — oto pola działania godne współczesnego artysty. Futurystyczna fascynacja miastem, jego dynamiką, w połączeniu z aktualnymi właśnie ideami kolektywizacji przyczyniają się do powstawania przeróżnych projektów, nierzadko utopijnych. W pierwszym programowym numerze pisma „Lef", wydawanym przez lewicowych pisarzy i poetów, konstruktywista A. Ławiński publikuje schemat miasta przyszłości. W tym samym numerze Sergiusz Tretjakow głosi, że dla futurystów „agitacja rewolucyjna okazała się nie obcą doczepką, ale jedynym sposobem zastosowania sztuki w jej prawdziwej postaci do praktycznych zadań życia". Aleksander Rodczenko w latach 1917 — 1921 bliski koncepcjom Malewicza, później zajmuje się wyłącznie plastyką użytkową, projektuje okładki, plakaty, opracowuje fotomontaże. Konstruktywiści nadają kształty kioskom i kawiarniom.

Hasło sztuki użytecznej oraz sytuacja polityczna sprzyjają rozwojowi plakatu. W 1919 r. pojawiają się pierwsze „Okna ROSTA": propagandowe gazetki rysunkowe i plakaty umieszczane w moskiewskich witrynach Rosyjskiej Agencji Telegraficznej. Projektowane i własnoręcznie wykonywane przez M. Czeremnycha, W. Majakowskiego, I. Milutina, z którymi współpracują m. in. Rodczenko, Ławiński i słynny Moor, w poważnym stopniu pomagają rewolucji. Pierwsze „Okna" były rozgadane, obok licznych rysunków różnej wielkości znajdowały się wiersze, felietony i notatki. *Wkrótce jednak* — wspomina Czeremnych — *zrezygnowano z tego skomplikowanego typu „Okien" na rzecz bardziej prostych, podporządkowanych jednej myśli przewodniej, wykończonych plakatów. Typ ten był dziełem całego zespołu.* Niedaleka stąd droga prowadziła do dzisiejszego plakatu.

W pewnym momencie w sztuce radzieckiej zarysowuje się tendencja czysto utylitarna, podająca w wątpliwość sens działalności artysty poza przemysłem. Głównym rzecznikiem tej orientacji stał się wybitny konstruktywista, wspomniany już Tatlin.

Po przedrewolucyjnych doświadczeniach z abstrakcyjnym reliefem, którym towarzyszyły realizacje przestrzenne, zbliżone w swej istocie do późniejszych kompozycji dadaistycznych Picabii, M. Duchampa i Schwittersa, Tatlin podjął problem integracji sztuki, nauki i techniki, do dziś zresztą aktualny i kuszący. Trafnie przewidywał ogromne możliwości dla plastyki, jakie niosła z sobą nowa technika i nowe materiały budowlane (żelazo, stal, szkło). Bilansując koncepcje Picassa i Braque'a, zmaterializowane w collages, poszedł znacznie dalej, bo w przestrzeń trójwymiarową, czym w ostatecznym rozrachunku zanegował obraz — płaską powierzchnię. W latach 1919 — 20 opracował, nie zrealizowany zresztą, projekt pomnika III Międzynarodówki, który w pełni ilustrował jego program artystyczny. Sama makieta pomnika liczyła 25 m, a przewidywana realizacja miała osiągnąć 400 m. Wewnątrz stalowej spirali wzbijającej się w przestrzeń Tatlin umieścił dwa szklane cylindry obrotowe, w których wnętrzu zaplanował sale zebraniowe, koncertowe, wystawowe i pomieszczenia redakcyjne. Jednoznaczne refleksje budzi przy tym fakt, że budowle zbliżone do zaprojektowanej przez Tatlina dopiero od niedawna stoją na powierzchni ziemi.

Nieco później artysta zdecydowanie opowiedział się po stronie tzw. „produktywistów" — Stiepanowa, Popowa, Rodczenki — wskazujących na sztukę przemysłową, jako jedyną płaszczyznę działalności współczesnego twórcy.

Zrozumiale, że suprematysta Malewicz nie mógł zgodzić się z takim programem. Zajmując się również plastyką użytkową, konsekwentnie odgraniczał ją od sztuki czystej. Znalazło to wyraz w nazewnictwie jego plastycznych studiów wzajemnych stosunków form. Te, które przeznaczał do ewentualnej realizacji budowlanej, nazywał „architekturą", inne, będące plastyczną spekulacją, rzeźbą w końcu, określał mianem „architektonów". Jasną, choć zabarwioną pewnym mistycyzmem (artystycznym) wykładnię poglądów estetycznych Malewicza zawiera jego podstawowa praca teoretyczna, której fragment pt. „Suprematyzm" opublikowano w języku polskim. Znaleźć tam można takie m. in. stwierdzenia:

Ze stanowiska suprematysty zjawiska natury przedmiotowej są same w sobie bez znaczenia; istotne jest odczucie (Empfindung) jako takie zupełnie niezależnie od otoczenia, w którym zostało wywołane ...Każda idea społeczna, jakkolwiek wielka i istotna, powstaje z odczucia głodu; każde dzieło sztuki, choćby się mogło wydawać małe i nieistotne, powstaje z malarskiego lub plastycznego odczucia. Byłby więc już czas, aby pojąć, że problemy sztuki i problemy żołądka nie idą ze sobą w parze.

Skrajne tendencje utylitarne nie wabiły także niektórych konstruktywistów. Nahum Gabo i Antoine Pevsner zarzucali Tatlinowi „maszynowy romantyzm", a swoją praktyką twórczą, odpowiadającą teorii zawartej w ogłoszonym w 1920 r. „Manifeście Realistycznym", wprowadzili do konstruktywizmu szereg cennych wartości. Gabo stworzył ruchome rzeźby przestrzenne, których mechanistyczna zasada znalazła swój odpowiednik w mobilach Amerykanina Caldera. Idea rzeźby dynamicznej i ruchomej wyznaczyła także kierunek poszukiwań Pevsnera. Jego „kolumny i powierzchnie rozwijające się", powstałe już po wyjeździe Pevsnera ze Związku Radzieckiego, są najciekawszymi osiągnięciami sztuki nowoczesnej. Gabo i Pevsner należą do tych artystów, którzy definitywnie rozbili zamkniętą bryłę rzeźbiarską na rzecz układów organizujących przestrzeń, układów dynamicznych i zmiennych, w których światło jest głównym czynnikiem konstrukcyjnym. Zajmując się projektowaniem przemysłowym — Gabo opracował m. in. projekt radiostacji w Sierpuchowie koło Moskwy — nie zapomnieli nigdy, że celem ich twórczości jest „Dać wyraz... odczuwaniu świata w kategoriach Przestrzeni i Czasu".

Pośrednią pozycję zajmował w sporze dwóch orientacji El Lissitzky, malarz i architekt, autor kompozycji malarskich zwanych „Proun", w których podobnie jak Malewicz w „architektonach" rozwiązywał problematykę relacji form płaskich lub przestrzennych. W końcu przecież Lissitzky zajął się wyłącznie projektowaniem w zakresie plastyki użytkowej, głównie wystawienniczej. Warto dodać, że artysta posiadający szerokie kontakty ze środowiskiem awangardy niemieckiej był niejako emisariuszem konstruktywizmu radzieckiego na Zachodzie.

Zrozumiałe, że różnice ideowe w łonie awangardy radzieckiej musiały doprowadzić do poważniejszego rozłamu. Jeszcze w 1922 r. na pierwszej oficjalnej wystawie sztuki radzieckiej w berlińskiej Galerie van Diemen awangarda występuje jako zwarty blok twórców nowej sztuki, ale w następnych latach pozory jednolitości zostają ostatecznie rozwiane. Rozproszenie artystów, kończące ten okres rozwoju sztuki nowoczesnej w Związku Radzieckim, było jednak w dużej mierze wynikiem zmian w polityce kulturalnej, co wykracza poza założenia niniejszego szkicu.

Stosunkowo krótki okres aktywności awangardy radzieckiej zapisał się trwale w historii sztuki nowoczesnej. Moskwa stała się jednym z najbardziej twórczych ośrodków sztuki europejskiej, a tym samym światowej, promieniującym idee, które wszędzie zwracały uwagę swoją rewolucyjnością. Artyści radzieccy niejednokrotnie wyprzedzali praktykę twórczą Zachodu lub równocześnie i niezależnie podejmowali te same problemy plastyczne. Z jednej więc strony Malewicz, Tatlin, z drugiej zaś Mondrian i Gropius wyznaczają swoją twórczością ten ogromny łuk, z którego z niepowstrzymaną siłą wystrzelił jeden z zasadniczych kształtów nowoczesności.

Awangarda przestała istnieć, lecz jej idee pozostały. Są nadal żywe. Dowodem powrót do myśli konstruktywistycznej we współczesnej architekturze radzieckiej, dowodem artykuł Niekrasowa, pisarza, architekta z wykształcenia, zamieszczony w 1960 r. w „Literaturnoj Gazetie", przypominający ogromne znaczenie konstruktywizmu dla sztuki dzisiejszej. Dowodem ostatecznym Mauzoleum Lenina, które jest dziełem konstruktywistycznym.

Ireneusz J. Kamiński

Michel Seuphor: Dictionaire de la peinture abstraite, Paris 1957.
Mieczysław Wallis: Geneza i podstawy malarstwa bezprzedmiotowego, (w:) „Estetyka" 1960, nr 1.
Artyści o sztuce, oprac. E. Grabska, H. Morawska, Kraków 1963.
Anatol Stern: Poezja zbuntowana, Warszawa 1966.
Mieczysław Porębski: Granica współczesności, Wrocław 1965.
Adam Kotula, Piotr Krakowski: Kronika nowej sztuki, Kraków 1966.
Majakowski we wspomnieniach swoich współczesnych, Warszawa 1966.

DLACZEGO WŁAŚNIE WŁOSZCZOWA?

MIROSŁAW DERECKI

ROK Kulturalny rozpoczęty. Centralne uroczystości związane z otwarciem odbyły się 30 września we Włoszczowie. Przybyli na nie m. in. kierownik Wydziału Kultury KC PZPR Wincenty Kraśko i wiceminister Kultury i Sztuki Zygmunt Garstecki. Przez Kielecczyznę przeciągnął sznur samochodów z warszawską rejestracją, zwiedzono szereg miejskich i wiejskich placówek kulturalnych. Jednym z głównych punktów programu uroczystości było przekazanie do użytku Powiatowego Domu Kultury we Włoszczowie, pięknego, nowoczesnego, dobrze wyposażonego obiektu. Cała impreza miała jednak mimo ogólnopolskiego charakteru przebieg raczej skromny, „powiatowy". Ktoś się nawet na boku wyraził, że Kielecczyzna się zblamowała, że nie potrafiła „stanąć na wysokości zadania". Zarzut wątpliwy. Nie trafia mi do przekonania twierdzenie, iż uroczystościom centralnym musi zawsze towarzyszyć zaraz wysztafirowana gala. Zaś uczynienie z Włoszczowy centrum krajowej uwagi świadczy o wielkim zaangażowaniu się władz w sprawę rozwijania inicjatyw kulturalnych wypływających „od wewnątrz", czyli z tzw. terenu.

Dlaczego właśnie Włoszczowa, powiatowe miasteczko województwa pozostającego daleko od kulturalnej czołówki? Stolica odległego powiatu, którego połowę ludności stanowią rolnicy a tylko 11 tys. osób pracuje w przemyśle, handlu i innych gałęziach gospodarki? Nowe domy kultury otwiera się w Polsce co kilka dni a prowadzą do nich drogi o wiele wygodniejsze niż do Włoszczowy... Ale Włoszczowę charakteryzuje wielka inicjatywa jej mieszkańców, zapał i wysiłek przy realizowaniu kulturalnych poczynań, przy budowie obiektów, które im były potrzebne, a na których otrzymanie na zasadzie prezentu nie mogli szybko liczyć.

Nie jest niczym nowym, że Kielecczyzna ma liczne braki w dziedzinie inwestycji kulturalnych. Jest również faktem, że w ostatnich latach nadrabia te braki w przyspieszonym tempie, często organizując potrzebne fundusze także „własnym przemysłem". Powiat włoszczowski jest tego najlepszym przykładem.

Kilka lat temu na Kielecczyźnie utworzono Wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury przeznaczony na popieranie budownictwa obiektów kulturalnych w czynie społecznym oraz na pomoc w wyposażeniu placówek k. o. Powstały fundusze powiatowe i miejskie. Podstawowym źródłem wpływów funduszu są dobrowolne świadczenia ludności dokonywane przez wykupywanie specjalnych plakietek dołączanych do biletów kinowych, teatralnych itp. Są też nimi dotacje zakładów pracy, spółdzielni, nadwyżki budżetowe województwa. W 1968 r. przewidywano zebranie kwoty 4 211 tys. zł; zebrano prawie 7 milionów. Największą aktywność wykazały: Włoszczowa, Opatów i Kazimierza Wielka.

Rozwój życia kulturalnego w różnych „pionach" gospodarki, zainteresowanie się nim szeregu organizacji gospodarczych, społecznych i politycznych spowodowało konieczność koordynacji głównych problemów działalności kulturalnej, szczególnie zaś właściwej i celowej gospodarki środkami finansowymi posiadanymi przez liczne instytucje i zakłady pracy nie podporządkowane radom narodowym. W 1958 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki w porozumieniu z CRZZ (i innymi instytucjami) powołało Centralną Komisję Koordynacyjną d/s Upowszechniania Kultury. W 1959 r. na Kielecczyźnie powstała Komisja Wojewódzka, powiatowe i miejskie. Trzeba powiedzieć, że nie wszędzie w województwie owa koordynacja przedstawia się różowo. Działa tu szereg czynników hamujących, od opieszałości i braku inicjatywy poczynając, a na wzajemnych animozjach kończąc. Włoszczowa potrafiła jednak rozegrać partię w sposób właściwy i najlepszy. W 1960 r. miejscowi działacze kulturalni utworzyli tutaj stowarzyszenie pod nazwą Włoszczowskie Towarzystwo Krzewienia Kultury. W jego skład weszło ponad 300 osób, — nauczyciele, pracownicy administracyjni, rolnicy, młodzież. W zarządzie znaleźli się przedstawiciele najważniejszych instytucji powiatowych. Zaraz na wstępie opracowano dwuletni program działania. Potem przyszły dalsze. Okres poprzedzający powstanie Towarzystwa charakteryzowała duża aktywność społeczno-kulturalna poszczególnych środowisk. O połączeniu tych oddzielnie działających grup musiał jednak zadecydować zapał i aktywność jednostek.

Kieleckie posiada kilkanaście zarejestrowanych tego rodzaju stowarzyszeń, co włoszczowskie, ale większości z nich daleko do osiągnięć Włoszczowy. Może się na to składać wiele czynników. Jednak dobry przykład w jednym miejscu powstał i pozostał i dlatego słyszy się coraz częściej o inicjatywach Opoczna, Kazimierzy Wielkiej czy Sandomierza. Włoszczowa stała się swoistym „centrum kulturalnym" promieniującym na całe województwo. Wybudowanie nowoczesnego domu kultury nie jest w tej chwili, jak się rzekło, w Polsce niczym szokującym. Ale fakt, że został on w połowie wzniesiony dzięki własnej pomysłowości i własnemu wysiłkowi (wartość czynów społecznych i składek wyniosła prawie 4,5 mln zł) pokazuje innym w sposób namacalny, że przy dobrej woli można i we własnej miejscowości zdobyć się na podobne osiągnięcie. Wyróżnienie Włoszczowy przez władze centralne nie tylko daje satysfakcję jej mieszkańcom. Również innych pobudza do rywalizacji. Tym bardziej też podkreśla sens i celowość kieleckiego Funduszu Rozwoju Kultury oraz zagadnienie koordynacji.

Działalność Włoszczowskiego Towarzystwa Krzewienia Kultury nie ogranicza się przecież tylko do budowy jednego obiektu. Już w pierwszych latach swej działalności doprowadziło ono do budowy wiejskiego domu kultury w Kurzelowie, adaptowania na dom kultury pałacu w Koniecpolu, powstania domów kultury w Szczekocinach, Przyłęku, Pilczycy i Bukowej. W latach 1956—1965 zrealizowano w powiecie akcję „W każdej zelektryfikowanej wsi telewizor"; w tzw. społecznych punktach odbioru telewizji działa dzisiaj 135 telewizorów. Utworzona jeszcze w 1962 roku powiatowa Poradnia Amatorskiego Ruchu Technicznego, w 1965 r. została przekształcona w aktywnie dzisiaj działającą Poradnię Pracy Kulturalno-Oświatowej. Zaawansowane są prace przy budowie ośrodków wypoczynkowych w Koniecpolu, Szczekocinach, Pilczycy i Czarnej.

Można wymienić jeszcze kilka czy kilkanaście innych inicjatyw Towarzystwa. Ale takie wyliczanie, nawet w tym „z okazji" pisanym artykule mogłoby Czytelnika tylko znużyć. Dość więc chyba powiedzieć, że biorąc pod uwagę wszystkie dotychczasowe i planowane poczynania, program Włoszczowskiego Towarzystwa Krzewienia Kultury zakłada na najbliższe lata przekształcenie się powiatu w samodzielny ośrodek życia kulturalnego. Ma to nastąpić ostatecznie w roku 1970. Dotychczasowa aktywność WTKK, wskazuje, że nic nie powinno stanąć na przeszkodzie w zrealizowaniu tego zamierzenia.

Uderz w stół...

(Dokończenie ze str. 2)

wszerz Liban, Syrię i Jordanię. Jeśli pan Ciołkosz nie wie jeszcze, jak w rzeczywistości wyglądało to morale i ta bitność żołnierza izraelskiego, warto, aby zajrzał do tego czasopisma. *Na pierwszej sali wypadki lżejsze* — opisuje Wengraf swoją wizytę w szpitalu jordańskim — *żołnierze pozbawieni twarzy. Napalm zwęglił im skórę. Bezkształtne mięso porasta jasnoróżowa warstwa skóry. Operacja plastyczna przywróci im może człekopodobny wygląd twarzy* — *stwierdza lekarz. W innej sali leżą kobiety, na które lejący się z nieba napalm spadł, kiedy uciekały za rzekę Jordan. Popalone twarze, ręce, dolne i górne części tułowia. Ta oto matka* — *wskazał lekarz na straszliwie poparzoną postać kobiety* — *chciała ugasić swoje płonące dziecko obsypując je piaskiem. Ale napalmu nie można ugasić. Rozumie pan, napalm to płonąca płynna masa, rozlewająca się coraz szerzej po ciele. Kobieta ta mieszkała w obozie dla uchodźców na zachodniej stronie Jordanu. Uchodźcy postanowili uciec na brzeg wschodni. Bali się nadejścia Izraelczyków. Na drodze z Jeruzalem do Jerycha pociąg uchodźców zaatakowany został napalmem przez izraelskie lotnictwo.*

Wstrząsający widok przedstawiają dzieci, których ciałka ponadżerał płomień. Oto siedmioletnia dziewczynka. Napalm poparzył jej twarzyczkę, lewą rękę, całe prawie ramię i oba uda. Dorosłe spojrzenie oczu tego dziecka pozostawia niezatarte wrażenie.

To była ta proca Dawida, której skutki teraz oglądaliśmy — *powiedział austriackiemu dziennikarzowi jordański lekarz.* — *To była ich Wunderwaffe, którą wygrali wojnę. Żaden żołnierz jordański nie spotkał się twarzą w twarz z Izraelczykiem. Widział tylko samolot, z którego jak z nieba spadał ogień. Kto jeszcze był w stanie, potem starał się tylko wydostać z tego piekła. Co powiedziałby świat, gdybyśmy to my, Arabowie, zastosowali tę piekielną broń? Zostalibyśmy wyklęci przez cały świat.*

Pan Ciołkosz odciął się w swoim występie od agresji 1956 roku. *Minęło 11 lat* — stwierdził — *nie ma żadnej analogii między wydarzeniami z roku 1956, a wydarzeniami roku 1967.* Jeszcze nie przebrzmiał w eterze głos pana Ciołkosza, a generał Dajan powiedział angielskiemu dziennikarzowi, Churchillowi, że miał od 16 lat przygotowany plan napadu na kraje arabskie:

7-letnia dziewczynka jordańska poparzona napalmem przy ewakuacji z obszarów objętych agresją

My żyliśmy z tym planem, spaliśmy na tym planie, przetrawiliśmy ten plan. Rok 1956 był tylko etapem w ekspansjonistycznej, realizującej jednocześnie cele imperialistyczne, polityce Izraela. Rok 1967 był następnym ogniwem tej polityki.

Bezpośrednio po „polemice" z moim materiałem o wsypie pana Ciołkosza „Wolna Europa" zastosowała znany złodziejski chwyt: nadała rzekomy list z kraju, który rzekomo przyszedł do niej okrężną drogą. *Przyjaciele* — miał napisać anonimowy autor z Polski — *w całej Polsce trwa od dłuższego czasu kampania kłamstw przeciwko „Wolnej Europie". Nazywają was raz agentami Niemiec, raz sługusami USA za dolary...* Anonimowy autor pociesza rozgłośnię, aby się tym nie przejmowała, bo jest wzorem wszelkich cnót, zasługującym na najwyższe uznanie.

Znana metoda, personel „Wolnej Europy" ma wprawę w pisaniu takich listów. Rzecz jednak w tym, że nie ma w Polsce żadnej kampanii przeciwko „Wolnej Europie", natomiast „Wolna Europa" prowadzi kampanię przeciwko Polsce. Kampanię pełną kłamstw i przeinaczeń, obliczoną na łatwowierność ludzką. A co do zarzutów, że personel „Wolnej Europy" otrzymuje pieniądze z kasy amerykańskiego wywiadu, to warto przypomnieć, że nie my to ujawniliśmy, lecz zachodnie pisma i amerykański wywiad. W tej sprawie niech więc „Wolna Europa" kieruje pretensje pod adresem swoich mocodawców, którzy nie umieją trzymać języka za zębami.

Józef Barecki

Dokąd w niedzielę?

ROMUALD WIŚNIEWSKI

LUBLIN, niedziela rano. Co robić? Wieczorem można do kina, do teatru, do operetki. Ale w dzień? Kawiarnia i spacer po Krakowskim Przedmieściu? Jest słonecznie, choć nie za ciepło, bo dmie lekki wiatr. Zakłady pracy nie urządzają jesienią wycieczek podmiejskich (chyba, że wyjątkowo na grzyby), samochodu własnego nie mam, lecz od czego publiczne środki komunikacji? Dzwonię do dyżurnego ruchu SKW na dworcu autobusowym i pytam, do jakiej pobliskiej miejscowości o walorach turystycznych mógłbym pojechać ich wozem?

Dyżurny ruchu odpowiada, że musi się przez moment zastanowić, gdyż nie jest przyzwyczajony do udzielania takich informacji. Po chwili zaczyna mi wyliczać nazwy miejscowości, lecz sam komentuje te propozycje „to za daleko". „O, mógłby pan do Łęcznej — mówi — tylko, że najbliższy kurs będzie dopiero za półtorej godziny. W takim razie niech pan jedzie do Kijan. Pójdzie pan sobie stamtąd do Zawieprzyc. To będzie ze 3—4 kilometry. Mógłby pan jechać następnym kursem, do Spiczyna, skąd do Zawieprzyc jest bliżej, ale po co czekać. Zresztą w Kijanach też jest co zwiedzać, stary pałac, kościół..."

Decyduję się na Kijany. Idę na dworzec. Autobus jest prawie pusty — pięciu czy sześciu pasażerów. Bilet kosztuje 7 zł. W Kijanach przystanek przy samej bramie pałacu. Brama otwarta. Duży park, pełen starodrzewu, nazbyt zaniedbany jak na obecnego użytkownika pałacu, którym jest Technikum Ogrodnicze. Sam pałac, neoklasycystyczna ziemiańska siedziba zbudowana w XIX wieku, wygląda interesująco. Oglądam fronton, wchodzę do środka, wszystkie drzwi wewnętrzne pozamykane, ani żywej duszy. Przez duże oszklone drzwi zaglądam do dawnego salonu, mającego kształt rotundy i przybudowanego z tyłu do pałacu.

Wychodzę i idę na tył. Wrażenie gorsze, bo wokół rotundy leżą stosy węgla. Mocno zniszczonymi schodami schodzę przez skarpę nad rzekę. Wieprz płynie bystro, roślany szeroką wstęgą. Woda i powietrze są czyste, grube wierzby pochylają się nad korytem rzeki. Cicho. W gałęziach odzywa się jakiś ptak. Dla samego postania sobie tutaj, warto było przyjechać aż z Lublina.

Znów po skarpie do góry. W kiosku „Ruchu" przy wyjściu z parku kupuję widokówkę pałacu. Kioskarka ostrzega, abym nie wrzucał kartki do skrzynki przy pałacu, bo z tej skrzynki nie wybierają. — To gdzie wrzucić? — Na poczcie w Spiczynie — odpowiada.

Zwiedzam jeszcze zabytkowy kościół w Kijanach (właściwie pełna nazwa miejscowości brzmi Kijany Kościelne) i idę do Zawieprzyc. Po drodze wrzucam w Spiczynie kartkę i po drodze spotykam drugą rzekę, naszą kochaną, lubelską Bystrzycę. Właściwie zanim się dojdzie do Bystrzycy, już czuje się ją nosem. Rzeka cuchnie niesamowicie, trzeba po prostu zatkać nos i jak najszybciej oddalić się od śmierdzącej strefy. W Spiczynie, w pobliżu szosy jest młyn wodny. W jego śluzach nurt rzeczny miesza się, pieni i rozbryzguje, przez co fetor jest jeszcze silniejszy. Jakiś kilkunastoletni chłopiec bawi się obok młyna. — Ty tu mieszkasz? — pytam. — Aha — odpowiada. — No i jak wytrzymujesz te zapachy, przyzwyczaiłeś się? — A pan by się przyzwyczaił? — odpowiada pytaniem.

Za Spiczynem, grobią nad brudną, mętną, niemal czarną Bystrzycą, idę do widocznego już z daleka zamku w Zawieprzycach. Na szczęście wiatr wieje ode mnie w kierunku rzeki i nos nie cierpi. Grobla oddala się łukiem od miejsca, gdzie Bystrzyca wpada do Wieprza i znów przybliża do rzeki. To już nie ten Wieprz, który oglądałem w Kijanach. Skażony wodami Bystrzycy, jest brudny i cuchnie, choć nie tak jak sama Bystrzyca, gdyż ścieki rozcieńczyły się w większej ilości wody. Ale i tak jestem pełen podziwu dla stojących co kilka kroków wędkarzy, którzy jak zahipnotyzowani nie odrywają oczu od spławików.

I oto Zawieprzyce. Na bardzo wysokiej skarpie nad rzeką ruiny renesansowego, XVII-wiecznego zamku. Właściwie to już nie ruiny. Kiedy byłem tu poprzednio, 17 lat temu, widziałem jeszcze ruiny. Dziś stoi tylko brama wjazdowa i fragment ściany z kilkoma otworami okiennymi oraz fundamenty. Lecz i to wystarcza, by dać wyobrażenie, jak potężna musiała to być budowla. Z góry zamkowej widać na wiele kilometrów szeroką pradolinę Wieprza. Wspaniały pejzaż. I do miejsca, w którym jestem, nie dolatuje zapach rzeki.

Zamek i szeroka zeń perspektywa to nie jedyne atrakcje Zawieprzyc. W krzakach zarastających wzgórze pełno dziur w ziemi, wystają z nich kawałki muru, są tam jakieś otwory. Zapewne piwnice, może skomplikowane lochy — cóż to byłaby za gratka dla doświadczonych lochołazów. Ja, zwykły turysta, wybieram dostępne obiekty. Więc najpierw kaplica z cenną polichromią z XVII wieku. Kaplica stoi nieruszona, lecz poza tablicą informującą, że jest to obiekt pod ochroną państwową i naruszenie go będzie karane prawnie, nie widać, aby była w jakikolwiek inny sposób chroniona. A warto byłoby przynajmniej doprowadzić wnętrze do jakiego takiego porządku. Potem stary krzyż na murowanym postumencie, w którym, jak mówi legenda (zanotowana niegdyś przez W. J. Śliwinę i opublikowana ze 20 lat temu w „Sztandarze Ludu") zły pan kazał zamurować dwoje kochanków. Postument jest pęknięty, jeszcze trochę, a się rozsypie. Natomiast świetnie się trzyma dawny spichlerz. Na górze jest biblioteka. Na dole tablica, że tu się mieści stacja turystyczna PTTK. Pukam, bo zgłodniałem. Zamknięte. Jakieś dziewczęta przechodzące obok zbrojowni mówią mi, że stacja prowadzi tylko działalność hotelową, w kilku salach jest 50 łóżek, jednak rzadko kiedy tu kto mieszka, więc kierownik stacji nie ma po co tak ciągle siedzieć. A zjeść co, to można w Spiczynie — nigdzie bliżej. Opuszczając spichlerz czytam jeszcze zawieszoną w korytarzu, mocno już zatartą, tablicę z dziejami zamku. Treść jej naszpikowana jest mało znanymi powszechnie wyrazami „...elewacje od strony Wieprza flankowały dwa wysunięte rozality...". Aha, bądź tu mądry i powiedz mi co to są rozality. Akurat wiadomości dla przeciętnych turystów.

No i jeszcze resztki parku z olbrzymią kilkusetletnią lipą, wypróchniałą zupełnie w środku, aż proszącą się, by ktoś ją zaplombował. Ostatnia rzecz do obejrzenia to oranżeria za parkiem. Opuszczony budynek, bez drzwi i okien, z dziurami w podłodze. Żaden zabytek, jednak mimo tej dewastacji o ileż taniej kosztowałby jego remont, niż postawienie nowego o takim metrażu. Co za oryginalny byłby to lokal na klub wiejski, siedzibę jakiejś organizacji, restaurację, nawet na biuro GS. Czy wyremontowany nie przydałby się miejscowej młodzieży, tym choćby sympatycznym, nieco podpitym młodzieńcom, rzucającym niestety nie dworską łaciną, którzy ubrani w czarne garnitury i białe non-irony grają teraz na podwórzu zamkowym w siatkówkę. Co będą robić w zimowe popołudnia?

Mógłbym wracać do Kijan ścieżkami nad Wieprzem, który o kilkaset metrów stąd, przed przyjęciem Bystrzycy, jest czysty, przyjemny, malowniczy. Chęć zjedzenia obiadu kieruje mnie jednak do Spiczyna. O święta naiwności! W gospodzie „Zacisze" informują, że w niedzielę obiadów nie ma. Mogę dostać najwyżej trzy rodzaje zimnych zakąsek i kilkanaście gatunków alkoholu. Pod gospodą stoi sznur motorów i rowerów. Niezbyt trzeźwi motocykliści w kaskach na głowach raczą się na stojąco piwem. Najbliższe zakłady gastronomiczne z gorącymi daniami znajdują się w Lubartowie, w Łęcznej lub w Lublinie. Wracam zatem do Lublina. Na szczęście bez trudu znajduję miejsce w autobusie. A gdy jestem już w Lublinie, w gąszczu niedzielnych spacerowiczów, słyszę jak młoda dama wychodząca z kawiarni mówi do swego towarzysza: „Chodź, pochodzimy po Krakowskim Przedmieściu, trzeba łyknąć trochę świeżego powietrza".

Czytelnik, który dobrnął cierpliwie do tego miejsca moich wynurzeń, może poczuć się zdezorientowany. Czy warto było jechać w niedzielę na taką wycieczkę? Czy wypoczynek jaki ona daje i kontakt z przyrodą równoważą ujemne strony podróży?

Warto na pewno. Ani ślęczenie przed telewizorem, ani wysiadywanie w kawiarni, ani też leżenie na tapczanie i liczenie much na suficie nie dadzą się porównać z taką prostą wyprawą. Zastanawiające jest jednakże, dlaczego przy okazji spotyka się tyle irytujących niedociągnięć. Zawieprzyce oznaczone są na każdej mapie turystycznej Lubelszczyzny i wymienione w każdym przewodniku po naszym województwie. A zatem wycieczkowicz, który tam się wybiera, może spodziewać się, że otrzyma podstawowe usługi turystyczne, a więc chociażby gorący obiad. Nie są to wymagania przekraczające możliwości miejscowego handlu. Nie poruszam zaniedbań samego obiektu, bo to już oddzielny, obszerny temat.

Niezrozumiałe jest natomiast zupełnie to, że w blisko ćwierćmilionowym Lublinie, w którym jest dziesięć organizacji turystycznych, biur podróży i spółdzielni turystycznych, oferujących nam kosztowne wyjazdy na drugi koniec Europy, nie ma nikogo, kto by zajął się organizacją niedzielnych wycieczek. Takich, żeby zwykły przechodzień z ulicy mógł wejść, zapytać, gdzie może pojechać, zapłacić, ile się należy i być o resztę imprezy spokojny. Nie mam tu na myśli wyszukanych wyjazdów do Sandomierza, Spały, czy gdzieś dalej. Chodzi mi o bliskie okolice Lublina, w których też jest co nieco do obejrzenia.

Nie wystarczy bowiem zadeklarować, że bierzemy udział w Międzynarodowym Roku Turystycznym, ogłoszonym przez ONZ. Oprócz turystyki wielkiej, na dalekich szlakach, potrzebna nam jest tak samo, a może nawet jeszcze bardziej, mała turystyka dostępna dla wszystkich. Jesień jest dla niej porą bardzo właściwą, nie tylko ta złota, ale nawet jesień chmurna i deszczowa.

Listy do KAMENY

„CZOŁGANIE SIĘ, ZRYW CZY SPRINT?"

Z zaciekawieniem przeczytałem, co myślą o studentach I roku profesorowie i asystenci. Przy okazji nasunęła mi się myśl, że warto by zorganizować dyskusję na ten sam temat w gronie samych studentów — starszych lat. Może mamy coś do powiedzenia, coś godnego uwagi?

MAREK DERCZUK
Lublin

OD REDAKCJI: Dyskusja taka już odbyła się.

„ŚMIAĆ SIĘ CZY PŁAKAĆ?"

W 18 numerze „Kameny" napisał Jacek felieton „Śmiać się czy płakać", w którym jest m. in. mowa o „znajomości" nowszej poezji rosyjskiej przez studentkę III roku filologii rosyjskiej. Niestety, Jacku, ten przykład nieuctwa, intelektualnego lenistwa i minimalnych zainteresowań przedmiotem, który wybrało się do studiowania, nie jest odosobniony. Kilka moich koleżanek i kilku kolegów dostało się na wydział historii sztuki pewnego uniwersytetu. (Nie wymieniam jego nazwy i siedziby z obawy przed świętym oburzeniem). W tej chwili są już na III i IV roku, a więc w przeddzień otrzymania dyplomów. Ale... Mało, że większość z nich nie potrafi wykazać się znajomością elementarnych faktów z dziejów sztuki, to na domiar wszystkiego są bezradni wobec obrazów, nie umieją na nie p a t r z e ć! Analizy formalne i ikonograficzne dzieł sztuki, przeprowadzane na seminariach, są więc żałosną parodią, sankcjonowaną zresztą przez system nauczania, który — mówiąc oględnie — jest anachroniczny. Po studiach, bo przeważnie wszyscy zaczynający kończą historię sztuki, pójdą tacy „znawcy" do muzeów, Biur Wystaw Artystycznych i innych instytucji związanych ze sztuką, aby tam odgrywać kolejny akt komedii, rozwijający się wokół ich dyletantyzmu. Studia historii sztuki w swej obecnej postaci umożliwiają studentom nieróbstwo, a zarazem nie są w stanie przekazać im umiejętności właściwego kontaktowania się ze sztuką. Kilka lat temu dyskutowano na ten temat na łamach „Kultury". Kilka ważnych i mniej ważnych osób wypowiedziało się za koniecznością zreformowania tych studiów. Skończyło się, o ile mi wiadomo, na słowach. Śmiać się, czy płakać?

Z poważaniem
HENRYK ROY
Łódź

„PAMIĘTNIK OSIEMNASTOLATKI"

Wybaczcie, panowie redaktorzy, ale ten pamiętnik jakiejś panienki pachnie mistyfikacją. Ależ, oczywiście, wierzę w to, że napisała go nastolatka. Tylko... Tylko, że zbyt oczytana i podatna na mitologię „literacką". Stara się jak może ubrać swoje taniutkie refleksje i banalne doświadczenia w ładne, okrągłe zdania, którym dramatyzmu dodają — zdaniem autorki — takie niezawodne zwroty i przenośnie, jak „noir garson", „drżę wewnętrznie", „interesuję go od strony seksu" itp. Panowie pozwolą, że na koniec przytoczę kapitalny passus ze zwierzeń panienki (z dobrego domu, zapewne): „Rozhukaną i rozbrykaną rzeczywiście byłam, ale w tej pozornej bezmyślności ukrywałam myśleć rozsądniej niż inne. Było mi po prostu źle na świecie". Czy nie szkoda papieru?

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

KAZIMIERZ KORWIN
Warszawa

Odpowiedź bez odpowiedzi

(Dokończenie ze str. 5)

mo, pozorne w istocie, gdyż cisza zawsze potrafi po latach przemawiać — choćby cudzymi ustami. A wojna? A jej dzisiejsze narastające coraz bardziej echa? Wszystko dałoby się poświadczyć książkami, bowiem proces politycznych i społecznych przemian — wyznaczał również dzieje tej literatury.

Zjawisko to musi fascynować, na przekór sztukmistrzom ze słoniowych wież. Podobnie zresztą, jak rozległe związki z życiem, które wciąż przepełnia swoimi skomplikowanymi obrazami karty książek, i rodząca się na tym tle ideowość, nie wahająca się przed podjęciem ryzyka aktualności, doraźności, byle tylko żyć pełnią dnia dzisiejszego, chociażby po nim miała nadejść śmierć.

A jednak, gdy się otworzy niczym żywe karty historii dzieła kolejnych pokoleń pisarzy radzieckich, od Serafimowicza, Małyszkina, Fadiejewa, Babla, Płatonowa, Ławreniewa, poprzez Pilniaka, Fiedina, Wiesiołego, Gorkiego, Szołochowa, Aleksego Tołstoja, Erenburga aż po Niekrasowa i Polewoja, Simonowa i Bandariewa, Okudżawy i Sołżenicyna (gubiąc, oczywiście, wiele znakomitych zjawisk i nazwisk) — okazuje się, że doraźne względy nie muszą wcale wywoływać okazjonalnych zwycięstw, lecz potrafią również stanowić trwały dorobek, do którego można się odwołać nie tylko po kilkudziesięciu latach i nie tylko w granicach jednej literatury.

Józef Ratajczak

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● Białostocka Rozgłośnia „Polskiego Radia" obchodziła 15-lecie działalności. Z tej okazji dziennikarze Rozgłośni byli podejmowani przez przewodniczącego PWRN, Stefana Żmijko.

● Z okazji 30 rocznicy strajku chłopskiego w Polsce odbyła się w Suwałkach uroczysta wojewódzka akademia. W ówczesnym województwie białostockim strajk ten miał największe nasilenie właśnie na terenie Suwalszczyzny. Organizator obchodów — Prezydium WK FJN.

● W salonie ZPAP w Białymstoku czynna jest wystawa malarstwa Ireny Musielak. Artystyka, od kilku lat mieszkająca na Białostocczyźnie, pracuje w kombinacie w Fastach jako plastyk-projektant.

● Szpital Powiatowy w Łomży odwiedziła grupa lekarzy z Iranu, Kenii, Nigerii, Pakistanu i Turcji — uczestników Międzynarodowego Kursu Pediatrii Społecznej, zorganizowanego przez Ministerstwo Zdrowia. Zwiedzono również ośrodki zdrowia w Miastkowie i Jedwabnem.

KIELCE

● W Wojewódzkim Domu Kultury w Kielcach odbyła się inauguracja roku akademickiego w kielecko-radomskiej WSI. W tym roku miała ona niezwyczajny charakter — po raz pierwszy zainaugurowane zostały także studia dzienne.

● Radomska scena Państwowego Teatru im. S. Żeromskiego wystawiła „Kosmogonię" Jarosława Iwaszkiewicza w reżyserii Bogdana Czechaka. Na premierę przybył autor sztuki.

● Według „Rocznika Statystycznego 1967" województwo kieleckie (do 21.XII. 1966 r.) liczy 1904 tys. mieszkańców. Gęstość zaludnienia — 98 osób/km². W ubiegłym roku urodziło się na Kielecczyźnie ponad 31 tys. dzieci; przyrost naturalny wyniósł 16300 osób.

● Kielecczyzna gościła wybitnych muzeologów, przedstawicieli wielu krajów europejskich. Przybyli oni w ramach II Międzynarodowej Kampanii Muzealnej. M. in. zwiedzano Muzeum Zegarów Słonecznych w Jędrzejowie.

● W Podzamczu Chęcińskim odbył się II Krajowy Konkurs Orki Traktorowej. Dla miejskich czytelników wiadomość ciekawa... egzotyczna: wśród mechanizatorów rolnictwa i rolników budzi ona jednak za każdym razem żywe i zrozumiałe zainteresowanie.

LUBLIN

● W 28 rocznicę bitwy stoczonej pod Kockiem przez grupę operacyjną „Polesie" pod dowództwem gen. Kleeberga odbyła się w Kocku wielka manifestacja ludności z powiatów radzyńskiego i lubartowskiego.

● Od 27 do 29 października trwały w Lublinie ogólnopolskie spotkania artystyczne — „Studenci Wielkiemu Październikowi". Organizatorzy: Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Rada Naczelna Zrzeszenia Studentów Polskich. W ramach „spotkań" wystąpiły czołowe polskie studenckie zespoły artystyczne, odbył się wiec poetycki młodych poetów radzieckich i polskich.

● W krasnostawskiej wsi Małochwiej w każdym domu znajduje się telewizor. Do końca roku Lubelszczyźnie przybędzie jeszcze kilka takich miejscowości. Warto zauważyć, że spośród 50 tys. abonentów telewizyjnych w woj. lubelskim 18 tys. stanowią mieszkańcy wsi.

● W Klubie Polskiego Związku Głuchych „Gest" w Lublinie rozpoczął działalność Uniwersytet Powszechny TWP. Podobne formy pracy prowadzą w Polsce tylko dwie placówki PZG.

RZESZÓW

● Już piąta w historii rzeszowskiej WSI inauguracja roku akademickiego! Odnotujmy na marginesie, że wg. planu rozwojowego tej uczelni, w 1980 r. na 5 wydziałach (ogólnotechnicznym, mechanicznym, elektrycznym, inżynierii komunalnej i chemii) kształcić się będzie 8 tys. osób. Koszt wszystkich inwestycji uczelni przekroczy kwotę 300 mln złotych.

● W łańcuckim zamku odbyła się polska prapremiera „Cyganów z Andaluzji" Jana Potockiego w tłumaczeniu Jerzego Zagórskiego, Reżyseria Stanisława Bielińskiego, scenografia Otto Axera.

● W rzeszowskim Domu Sztuki otwarto wystawę malarstwa Jadwigi Karwackiej. Artystka brała udział w szeregu wystaw ogólnopolskich. Obecnie prezentuje dorobek malarski z ostatnich 5 lat. Inni rzeszowscy plastycy — Cezariusz Kotowicz, Zdzisław Ostrowski i Marian Ziemski prezentują swoje prace w lokalu tarnowskiego BWA.

● Zespół Pieśni i Tańca „Rzeszowianka" z Zakładowego Domu Kultury WSK w Mielcu wyjechał na tournée po Jugosławii. Trasa wiedzie przez Belgrad, Nowy Sad, Subotticę i Banjo. „Rzeszowiacy" wyjechali za granicę na zasadzie wymiany bezdewizowej — w lipcu gościli oni zespół „Pajo Kolarić" z miasta Osijek.

Wystawa w Muzeum Okręgowym

Echa Rewolucji Październikowej na Lubelszczyźnie

NIEDŁUGO po wybuchu Rewolucji Październikowej w Rosji, zaczęły ukazywać się na Lubelszczyźnie pisma o wymownych tytułach: „Prawda Komunistyczna", „Wiadomości Rady Delegatów Robotniczych miasta Lublina", „Gromada" — organ Komunistycznej Partii Robotniczej Polski; w winiecie pepesowskich „Naszych Haseł" widniał napis: „Wyzwolenie robotników powinno być dziełem samych robotników". Były to wymowne oznaki rewolucyjnych nastrojów, jakie panowały wówczas na Lubelszczyźnie.

Klasy robotnicza i chłopska od razu poparły Rewolucję Październikową, której program społeczny zawierał rozwiązanie najbardziej istotnych interesów ludzi utrzymujących się z pracy własnych rąk. W powiatach lubelskim, zamojskim, janowskim, lubartowskim i puławskim powstały komitety folwarczne i rady robotniczo-chłopskie, kierujące ruchem strajkowym i organizujące demonstracje, których hasła nawoływały do podziału ziemi obszarniczej i przekazania władzy w ręce robotników.

Ważnym momentem, który pozyskał sympatię zdecydowanej większości społeczeństwa polskiego dla rewolucyjnych wydarzeń w Rosji, było uznanie prawa Polski do niepodległości:

Zawiadamiając naród polski... o zwycięstwie wolności nad wszechrosyjskim żandarmem, Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich oświadcza, że demokracja w Rosji stoi na stanowisku uznania samookreślenia politycznego narodów, i oznajmia, że Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowo-międzynarodowym — głosił najważniejszy dla Polaków fragment orędzia Piotrogrodzkiej Rady, opublikowanego 14 marca 1917 r. Wkrótce potem ukazał się podpisany przez Włodzimierza Uljanowa — Lenina Dekret Rady Komisarzy Ludowych, anulujący traktaty rozbiorowe. Uznanie przez bolszewików prawa narodu polskiego do suwerennego bytu państwowego było pierwszym krokiem, który w przyszłości doprowadził do przyjaźni pomiędzy Polską i Związkiem Radzieckim, a więc do sytuacji, której nie znała wcześniejsza, kilkusetletnia historia sąsiadujących z sobą narodów.

Te dwa dokumenty otwierają wystawę „Echa Rewolucji Październikowej na Lubelszczyźnie", czynną w lubelskim Muzeum Okręgowym. Gromadzi ona fotokopie plakatów, gazet, manifestów politycznych z lat 1917—1967 oraz zdjęcia ludzi tworzących wydarzenia, które kiedyś „wstrząsnęły światem" i do dziś są żywe, kształtujące oblicze naszej socjalistycznej rzeczywistości. Pokazane dokumenty przejrzyście ilustrują wpływ rewolucji na sytuację polityczną Lubelszczyzny w latach 1917—1919, wpływ widoczny w charakterze manifestacji robotniczych i strajków chłopskich, popierających proletariacki wybuch w Rosji, oraz ukazują narastanie coraz silniejszych związków pomiędzy lewicą społeczną Lubelszczyzny międzywojennej i naszym wschodnim sąsiadem.

Duża część wystawy poświęcona jest wspólnym walkom partyzantów i żołnierzy polskich i radzieckich w czasie ostatniej wojny z hitlerowskim najeźdźcą. Dzisiejsze kontakty Lubelszczyzny i Związku Radzieckiego są tematem ostatniego działu ekspozycji, która, jak się wydaje, przeznaczona jest przede wszystkim dla młodzieży szkolnej.

T. G.

Oni zwyciężyli

(Dokończenie ze str. 10)

Sądzę, iż Gorki widział swoją Paulinę, żonę fabrykanta, jako damę nieco ociężałą, rozleniwioną na prowincji, w zasadzie ugodową, pragnącą „świętego spokoju". ADELA ZGRZYBŁOWSKA (którą ubrano w pseudosarafan, a uczesano po prerafaelicku) gra kobietę cokolwiek secesyjną, nerwową, zaczajoną. Można i tak, skoro warunki aktorki to nakazują. Postać wypadła interesująco. Bardzo też ciekawa, nieodgadniona, pełna wdzięku, kokieteryjna á la beau monde woroneżski, jest aktorka Tatiana ZYTY POŁOMSKIEJ, a IRENA OLECKA w roli Nadi, młodego dziewczątka, któremu będzie trudno żyć, znalazła niekłamane akcenty buntu.

Jest w sztuce jeszcze jedna postać kobieca — gospodyni, która otrzymała skromny przydział tekstu. Postać ta nabrała znaczenia dostając się artystce tej miary, co MARIA SZCZECHÓWNA. Proszę spojrzeć na wyraz oczu Agrafieny, kiedy przysłuchuje się rozmowom swoich państwa. Tak samo z nieco ważniejszej osoby, spodlonego życiem, biednego bluzaliasty Połogiego potrafił uczynić ANDRZEJ CHMIELARCZYK postać artystycznie jednolitą, pozostającą w pamięci, budzącą współczucie, co na pewno zgodne jest z intencją Gorkiego, który potępiał nie ludzi, lecz wadliwy system społeczny. Wybitnie interesujący, pełen naturalnej prostoty i godności, ani odrobinę nie schematyczny, jest pozytywny Sincow w interpretacji JANA BOGDOŁA, kontrastowo zaś zaciekawia rotmistrz żandarmerii PIOTRA SOWIŃSKIEGO, drapieżca i bawidamek. Natomiast zgoła nijaki był wachmistrz Kwacz (PIOTR BRZEZIŃSKI), a i STANISŁAW STOJKO nie wyzyskał wszystkich możliwości tkwiących w roli starego żołnierza Konja, natury swojsko refleksyjnej. Nieco nużąco brzmiały wywody Lewszyna (KRYSTYN WÓJCIK), który wypadł korzystniej w końcowym, energicznym wystąpieniu. Podobał się szlachetną prostotą robotnik-rewolucjonista Grekow (TADEUSZ ZADORA) i młody, jeszcze niedoświadczony, ofiarny Riabcow (ALEKSANDER IWANIEC). STANISŁAW OLEJARNIK (stary robociarz Jagodin), LEOPOLD MATUSZCZAK („rudy" Akimow) i STANISŁAW MALISZEWSKI (naczelnik policji) nie mieli wielkiego pola do popisu.

Wracając do ról pierwszoplanowych trzeba podkreślić znakomite osiągnięcie ALEKSANDRA ALEKSEGO (jedno z najlepszych w sztuce). Jego generał, tępy, pewny siebie, zdziwaczały, został potraktowany z artystycznym umiarem, co daje niezawodne efekty komiczne. MARIAN DROZDOWSKI w roli Mikołaja Skrobotowa, prokuratora i brata fabrykanta, utrafił w ton powierzchownie ogładzonego urzędnika prowincjonalnego na wysokim stanowisku. I wreszcie, jak to się mówi, pour la bonne bouche — WŁODZIMIERZ WISZNIEWSKI niewątpliwie był jedną z wyrazistszych figur spektaklu grając chwiejnego Zachara, więcej ziemianina niż fabrykanta.

Dość banalny wystrój sceny (scenografia JERZEGO TORONCZYKA) inspirowały pewno względy oszczędnościowe (posrebrzone stare meble) Projekty kostiumów — trochę nieprzemyślane.

Niezależnie od tych czy innych momentów spornych, a może właśnie dzięki nim, lubelski spektakl „Wrogów" powinien mieć dobrą frekwencję.

Maria Bechczyc-Rudnicka

przegląd PRASY

INTERESUJĄCO i bogato zapowiada się tegoroczny sezon kulturalny, wyznaczony ważnymi rocznicami. Bo to i 50 rocznica Rewolucji Październikowej, i II Kampania Muzealna, rocznica T. Kościuszki oraz Marii Skłodowskiej-Curie, której — obok prasy tygodniowej — poświęciły sporo uwagi „Nowe Drogi" i „Problemy". Placówki kulturalno-oświatowe ułożyły nowe plany, zredagowały programy działania, odnowiły bazę. Sezon rusza. Czy jednak wszystko i wszędzie zapięte zostało „na ostatni guzik"? Jan Grygiel w artykule zamieszczonym w „WIDNOKRĘGACH" (sobotni dodatek „NOWIN RZESZOWSKICH") pt. „Po-a salę telewizyjną urządzono w pięknym foyer, psując charakter wnętrza. A przecież wiadomo — pisze dalej Grygiel — iż w związku z wielką rozbudową fabryk i rafinerii gwałtownie wzrasta liczba pracowników, zaś w mieście 20-tysięcznym nie ma innej masowej placówki kulturalnej.

Poprawa warunków lokalowych i nowoczesny sprzęt, to wstępne i podstawowe warunki polepszenia pracy domów kultury, z których większość, nawet przy tych brakach, tętni naprawdę życiem.

„MAGAZYN SŁOWA LUDU" przynosi godny uwagi reportaż Tadeusza Wiącka „Pięć dni opoczyńskich", który odsłania kulisy pewnych imprez w rodzaju „dni" jakiejś miejscowości czy regionu. W tym wypadku chodzi o Dni Folkloru Opoczyńskiego, zorganizowane w Opocznie. Autorowi wydawało się, że *Dni Folkloru będą dla miasta wielkim karnawałem. Że każdy mieszkaniec będzie żył tym świętem* „stulaty i warunki" przedstawia w tym względzie sytuację w województwie rzeszowskim. Obok domów kultury i klubów dobrze wyposażonych znajdują się tam placówki, których warunki lokalowe pogarszają się z roku na rok, nie ma więc mowy o ich dobrej pracy. Oto np. Dom Kultury w Gorlicach (nie ma tam PDK!):

Ten olbrzymi gmach, kiedyś straszący pustką, budowany w okresie tzw. „fasadowości życia", został dziś zagęszczony do maksimum. Czegóż tu nie ma — i *Zasadnicza Szkoła Gastronomiczna*, i *Wieczorowe Technikum Mechaniczne*, i *siódma klasa dla pracujących; jeszcze punkt konsultacyjny WSI z Rzeszowa. Tu mieszczą się kursy kwalifikowanego robotnika, kursy mistrzowskie i biblioteka techniczna zakładów.* Chyba wystarczy. Dobrze oczywiście, że to wszystko w Gorlicach istnieje, ale czy wszystko musi się odbywać i znajdować w jednym miejscu? Za to Dom Kultury pracuje w wielkiej ciasnocie, *tem. Że ulicami przeciągnie barwny, rozśpiewany pochód młodzieży, a wraz z nimi chłopi opoczyńscy, którzy nie wstydzą się swoich tradycji ludowych.* Ale nic z tego nie było.

Dla miasta były to dni zwykłe, impreza odbywa się właściwie dla zaproszonych gości, bez uczestnictwa ludzi miejscowych. Na ulicach prawie żadnych akcentów folklorystycznych. Na sesji naukowej sala świeci pustkami, bo nie zaproszono nawet nauczycieli, którzy mogliby lepiej poznać swój region. Wystawa regionalna — zamknięta, dla innych imprez brak zainteresowania. Dopiero gdy piątego dnia pojawił się „Wesoły autobus", zgromadziły się mimo deszczu tysiące mieszkańców. Zaczął się karnawał. Ale to już nie jest sprawa folkloru... Dopiero w pewien czas później zobaczył reporter w terenie ciekawą ludową kapelę i kobiety śpiewające piosenki ludowe dla siebie, ale nigdy Opoczno w tej roli ich nie oglądało. Wnioski reportażu można sobie darować, łatwo je zresztą wyprowadzić. Że jeśli się organizuje „dni", to niech będą one czymś żywym i znaczącym dla ludzi, a jeśli poświęcamy je folklorowi, niech to będzie folklor prawdziwy.

Bardzo interesujący problem podjęła „KULTURA" w rozmowie redakcyjnej, zatytułowanej „Prawda o klęskach", poświęconej społecznemu odbiorowi sportu. „Kultura" podjęła ten temat, bowiem *sport jest dziedziną, w której znajduje spontaniczne ujście ogromna ilość emocji społecznych.* Oto kilka ciekawszych opinii:

W. Gierutto: *Trzeba przede wszystkim uczynić wszystko, żeby odbiór sportu przez nasze społeczeństwo był odbiorem kulturalnym (...) Moim zdaniem od wielu lat nasza opinia sportowa ukształtowana przez środki masowego przekazywania informacji reaguje histerycznie, w sposób niezrównoważony, jest bardzo niedaleko.*

J. Hen: *Chciałbym zwrócić uwagę przy czym od euforii do rozpaczy U nas jest kult zwycięstwa. A kiegę, że u nas nie ma kultu wyniku, dy się przegrywa — następuje rozczarowanie. Narodowa frustracja.*

A. Ziemilski: *Padały tu takie zdania, że sukcesy sportowe mają być kompensatą, terapią narodowych kompleksów. Otóż leczenie sportem wyczynowym narodowych kompleksów nie wydaje mi się rzeczą mądrą, bo zmusza do nieustannego wygrywania. A jeśli przyjdzie przegrać, to co, zakompleksimy się jeszcze bardziej? Ale sport jest grą — w której i druga strona ma coś do powiedzenia.*

Rozmowa dotyczyła wielu spraw: braku boisk i zaniedbania wychowania fizycznego w szkole, złej organizacji, braku zawodowych trenerów, bowiem na co dzień pracują z zawodnikiem przeważnie ludzie, którzy nie mogli znaleźć zajęcia gdzie indziej. Do sportu wyczynowego przychodzą zresztą już inni ludzie. Nie pociąga ich romantyzm wysiłku, nie ma dumy z reprezentowania barw narodowych, trzeba więc ukazywać im inne uroki sportu. Nie bez znaczenia jest też narastający konflikt między karierą sportową, a karierą zawodową. Przykład Wojciecha Zabłockiego architekta i szablisty trudny jest dziś do powtórzenia.

T. K.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencję prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 3482. 6.X.67. P-4

Z ŻYCIA WZIĘTE

Obraz tygodnia

TYGODNIK Powszechny" podobnie jak każde pismo ma swoich wiernych czytelników. Być może, że czytelnicy „Tygodnika" są bardziej wierni od czytelników zwykłych pism, ponieważ w „Tygodniku" pisze wielu księży. Nie wiem, czy ci, co piszą do „Tygodnika" czytają to pismo, ale zapewne ci, co kupują „Tygodnik" czynią to sumienniej wierząc w to, co księża i nie księża do wierzenia im podają.

Nie znam się na sprawach pozaświatowych, trudno więc mi mówić o tej stronie działalności „Tygodnika". Pismo nie stroni jednak od życia doczesnego. Co tydzień, na pierwszej kolumnie ukazuje się rubryka zatytułowana „Obraz tygodnia". Anonimowy autor robi w niej przegląd najważniejszych wydarzeń tygodnia i serwuje to swoim wiernym czytelnikom.

Przypatrzmy się obrazowi jednego tylko tygodnia w jednym tylko numerze „Tygodnika" (1.X. 67).

„W rejonie Kanału Sueskiego doszło do ponownych pojedynków artyleryjskich. Ucierpiały egipskie miasta Suez i Tefwik". Bardzo to elegancko powiedziane. Doszło do pojedynków, ucierpiały egipskie miasta... Zupełnie tak, jakby to wszystko samo się dokonywało, jakby działała jakaś tajemnicza, nikomu nie znana siła. Następna wiadomość jest w tym samym stylu. „W wyniku czerwcowej wojny na Bliskim Wschodzie 350 tys. Arabów opuściło swoje miejsca zamieszkania". Tym razem jest mniej tajemnie. Ale nadal czuje się, że bez cudu nie mogło się tu obejść. Chyba, że ktoś z wiernych czytelników „Tygodnika" przez chwilę zwątpi w tę informację i zajrzy do zwykłej gazety, gdzie przeczyta, że to, nie Arabowie opuścili swoje miejsca zamieszkania, ale że wyrzucili ich stamtąd izraelscy napastnicy. Mała różnica, prawda? Jednocześnie dziwnym trafem autor „Obrazu tygodnia" nie doczytał się nigdzie, że Izrael zapowiedział zakrojoną na szeroką skalę akcję osiedlania osadników na zagarniętych ziemiach arabskich, zaś minister wojny Izraela, Dajan stwierdził, że Izrael nie odda podbitych terenów. Zamiast tego wierny czytelnik „Tygodnika" dowie się, że na Bliskim Wschodzie do czegoś tam doszło i ktoś coś opuścił. Ciekawe, prawda?

A teraz coś z innej beczki. „Kanclerz Kiesinger oświadczył, że przyszły traktat pokojowy musi tak ułożyć stosunki z Polską, aby „obie strony były zadowolone". Czy ktoś w Polsce nie chciałby takiego rozwiązania sprawy? Czy zależy nam na tym, aby przyszły traktat pokojowy wywołał niezadowolenie Niemiec zachodnich? Byłoby nam bardzo na rękę, aby Niemcy były zadowolone. A więc Kiesinger wyraża nasze uczucia? Nic podobnego. Autor „Obrazu tygodnia" zapomniał bowiem dodać to, co Kiesinger w dalszym ciągu mówił: że stosunki te powinny polegać na uznaniu przez Polskę takich żądań NRF, jak likwidacja NRD, zwrot zachodnich terenów Polski i rozwój zachodnioniemieckiego militaryzmu. „Obraz tygodnia" rysuje nieprawdziwy obraz kanclerza NRF. W jakim celu?

Czytajmy dalej.

Autor przeglądu poświęcił aż dwie notatki sprawie murzyńskiej w USA. „Małgorzata Elżbieta Rusk (lat 18), córka sekretarza stanu USA wyszła za mąż za Murzyna Guy Gibsona Smitha (lat 22). Komisja Senatu USA jednomyślnie zatwierdziła wybór Murzyna Waltera Washingtona na stanowisko burmistrza Waszyngtonu". Gdyby ktoś czytał tylko „Tygodnik" (a to jest całkiem możliwe) odniósłby wrażenie, że Stany Zjednoczone są dla Murzynów rajem bardziej rajskim, niż raj biblijny. Tymczasem w tym samym tygodniu, w którym prasę obiegła wiadomość o ślubie córki Ruska z Murzynem, w Stanach Zjednoczonych nie ustawały starcia policji z Murzynami. Lała się krew, padali zabici i ranni. Nagłówki o murzyńskiej walce zajmowały całe szerokości dzienników, wiadomości o ślubie córki Ruska, czy wyborze Murzyna na burmistrza Waszyngtonu nie sięgały jednej szpalty. „Tygodnik" tych pierwszych zupełnie nie zauważył, dostrzegł natomiast to, co nieistotne i nietypowe. Ciekawe? Nie tylko.

Dziwny jest obraz świata, widziany oczami anonimowego autora rubryki „Tygodnika Powszechnego". Jeszcze dziwniejszy jest obraz naszego kraju. Z całego tygodnia znalazła się tylko jedna rzecz godna zanotowania. „W samym tylko resorcie finansów PRL obowiązywały do niedawna 1 772 akty prawne. Dwie trzecie z tych rozlicznych rozporządzeń, okólników i instrukcji okazały się zbyteczne. Obecnie wydaje się nowe akty prawne, anulujące stosy poprzednich. Koniec, kropka. Nic więcej w kraju się nie zdarzyło. Albo nic więcej nie zasłużyło na uwagę „Tygodnika Powszechnego". Raczej to drugie. Przez okulary, jakie włożył na oczy autor „Obrazu tygodnia", nie wszystko widać. Zwłaszcza nie widać spraw istotnych. Czasem nie widać prawdy. Czasem nic nie widać.

Stop, trochę się zagalopowałem. Przez te okulary można patrzeć na świat. I widzieć takie np. rzeczy: „Francuski Związek Łowiecki ogłosił, że ostatni sezon był zły, jeśli chodzi o przepiórki, dość dobry w odniesieniu do bażantów, przeciętny jeśli chodzi o kozły, wreszcie fatalny, gdy mowa o dzikach. Punkt widzenia zwierzyny jest — jak się zdaje — odwrotny".

Właśnie, chodzi o tę drobnostkę, o punkt widzenia.

BAR

MINUTA MYŚLENIA

Wzornictwu cześć!

WILCZY się i milczy, znosi się i znosi, ręka opada i oko mętnieje śnięte. Przyjdzie się chyba pogodzić, że nic w naszym społeczeństwie nie ma tak trwałego żywota, jak bzdura. Wykazując wrodzoną niemal skłonność do wychwytywania wszelkiego rodzaju aspektów i zastrzeżeń oraz rozkrawania włosa na czworo (podstawa iluż to „dyskusji") godzimy się na zjawiska, które poddane choćby najłagodniejszemu egzaminowi zdrowego rozsądku odsłoniłyby całą swą psim swędem utrzymywaną niedorzeczność.

O czymże mowa? A no. Przypuśćmy, że przyszło ci się, Drogi Czytelniku, zastanowić nad tym, czy odpowiada Ci kształt noszonego przez Ciebie obuwia. Wiem, że traktujesz te sprawy „w biegu" pośpiesznego współczesnego życia, że to, co masz na nodze przyjmujesz jako „bezpośrednią daną" naszego lekkiego przemysłu. Ale powtarzam: przyszło się zastanowić. Jaka będzie odpowiedź? Owszem, są zagorzali — łowcy „ostatniego krzyku mody", którzy włożyliby na nogę nawet futerał od fletu, gdyby ten został wylansowany przez... (właśnie: przez kogo, skoro Diora w Polsce nie ma). Ale nawet ich głos traktując jako równouprawniony w wyimaginowanej ankiecie, otrzymalibyśmy chyba odpowiedź fifty fifty, to znaczy, że co najmniej połowa byłaby niezadowolonych. (Niżej podpisany w szeregu przygodnych rozmówek towarzyskich potrącał „od niechcenia" o ten temat i ma uzasadnione, aczkolwiek nie udokumentowane statystycznie, podstawy, by tak sądzić). Dlaczego się o tym nie mówi? Dlaczego się to produkuje? Dlaczego się powoduje z jednej, a przemilcza z drugiej strony to uparte deformowanie ludzkiej stopy? Zróbmy małe doświadczonko: odciśnijmy na papierze kształt stopy nie tkniętej dzisiejszym formatem obuwia (ale przy wszechwładzy obuwianego nonsensu, gdzie ją znaleźć? W Indii?), a na drugim odrysujmy zelówkę półbuta. Pokryją się? Konia z rzędem. Zatem pytanie: co do czego ma się dostosować? A także co estetycznego w kształcie wydłużonego pazura wynaturzającego ludzką stopę w sposób rażący nie tylko ją, ale również zmysł normalności?

Więc wygoda w diabły, estetyka za nią. To może moda. Ale nawet jeśli się zgodzimy na to, że może być modne coś, co nie jest estetyczne, to po pierwsze: na pewno nie może być modne coś, co trwa całymi latami, bo to na odwrót — martwy strychulec, który jest zaprzeczeniem mody, to nawet „myszka". Po drugie: modne może być coś w stosunku do czegoś, co nie jest modne, a w stosunku do czego obecny fason jest modny, skoro innego nie ma. Po trzecie: moda jest wyrazem chęci odmiany stroju u tej części społeczeństwa, która chce pozostałą pod tym względem wyprzedzić. Więc jakże mówić o modzie w warunkach, kiedy na rynek leje się zgłajszachtowany strumień jednakiego obuwia wynikły nie z gustu choćby najskromniejszego odłamu publiczności, ale z urzędowych wzorcowni? Paradoks na paradoksie. Bo na przykład ja, stary ramol i paseista, chciałbym sobie na nogę kupić coś wreszcie modnego. I co? Nie mogę, bo wszędzie mam tylko czy w węzyki, czy w paski, czy w dziurki, czy w prążki, ale tylko wyszlifowany czub, w którym się męczę od lat dziesięciu.

To samo z odzieżą. Jakiś zawtwardziały skrzep nawyku uparł się przy tym, że np. palto zimowe tylko trochę może być dłuższe od koszuli. W tym stroju gatunek homo przypomina rodzaj ptaków, o których pterologia mówi, że są brodzące, czy podkasale. Po ulicach uganiają się stada czapli. A zdrowie? W medycznych publikacjach wyczytać można jakiemu to odsetkowi społeczeństwa dokucza ischias, artertyzm, reumatyzm, lumbago. Więc okruszynkę — przeciwartertycznymi koszulami się temu przeciwdziała, ale tu — hulaj wietrze i mrozie w kończyny dolne, niech łupie w kolanach ile wlezie. Na cześć odzieżowego bezsensu, który rozsądkowi nie ustąpi ani centymetra.

„Żyjmy dłużej"? Spróbujmy. Może to jakoś przeżyjemy.

Ijon

BIG-BEAT

Prawdziwa cnota...

PANIE Redaktorze! Serdeczne dzięki. Kartkę od Pana otrzymałem. Z niejakim zdziwieniem (osobiście się Pan fatygował?) przeczytałem: „Drogi Jacku, dlaczego nie napisałeś felietonu do ostatniego numeru „Kameny"? Mamy ścisły harmonogram druku. W przyszłości — jeśli chcesz nadal współpracować z pismem — pamiętaj o terminach. Czekamy do 12 października".

Lektura Pańskiego listu wprawiła mnie w szampański humor. Nie jestem więc ciemniak, dno, choromózg, beznadziejniak, noga, nul, sirota, słaboszczak, tępal, wolnomyśliciel, zero. A już tak mogłem sądzić! Cała złość mi minęła, mogę więc postawić kawę na ławę i stwierdzić, że byłem trochę obrażony na czcigodną redakcję. Za co? A no, „Kamena" zorganizowała niedawno dyskusję na temat studentów pierwszego roku. Relację z tej dyskusji przeczytałem w 18 numerze. Było mi bardzo przykro, że nie mogłem w niej uczestniczyć. Nie z mojej winy. To nie megalomania. Wydaje mi się jednak, że jeśli redakcja przyhołubiła sobie studenta, wydzierżawiła mu stały kącik na ostatniej stronie to mogłaby o nim pamiętać i przy takiej nie codziennej znów okazji.

Już słyszę kontrargument. „Przecież Ty, Jacku, prawie nic o studentach nie piszesz." Rzeczywiście, ale czyja to wina? Pamięta Pan, Redaktorze, ten felieton, w którym poruszyłem problem domów akademickich? Powiedział Pan, że fantazjuję i felieton powędrował do kosza. Innym znów razem nie puścił Pan do druku moich wynurzeń na temat odczytu jednego z naszych profesorów, że niby podważam autorytet. Autorytet sam się podważył, kiedy publicznie opowiadał takie androny, że człowiek dostawał gęsiej skórki. W naszym mieście przydałby się solidny odkurzacz, nie ma jednak odważnego, który wziąłby go w swoje ręce. Wszystko cacy, cacy, klajstrujemy, umacniamy, cementujemy, a każdy głos krytyczny uważany jest za rozróbę. A już prawdziwa Sodoma i Gomora, kiedy krytyka dotyczy czcigodnej profesury wyższych uczelni albo ciał pedagogicznych szkół średnich czy podstawowych.

Jedna z moich młodszych koleżanek uczęszcza do klasy jedenastej. W tym roku wprowadzono nowy przedmiot — wychowanie obywatelskie. Nauczyciel bierze podręcznik i mówi: „Na następną lekcję przygotujecie rozdział o kapitalizmie". Dziewczęta czytają, czytają i włosy im się jeżą na głowie. Nie rozumieją poszczególnych terminów, wkuwają je na pamięć, potem lepiej czy gorzej powtarzają sformułowania podręcznika; nauczyciel nie uważa za stosowne przygotować się do wykładu. Po prostu kontroluje, ale nie uczy. A przecież nawet na uniwersytetach nikt nikogo nie skazuje jedynie na podręcznik. A więc co? Do prywatnych korepetycji obok przysłowiowej matematyki ma dojść również wychowanie obywatelskie? Kto ma pieniądze, aby płacić po 50—80 złotych za godzinę?

Inna koleżanka. Inna szkoła. Inny przedmiot: geografia. Na okres połowa uczennic otrzymuje dwóję. Dwója z przedmiotu, który można uczynić najciekawszym! Nauczyciel musi mieć jednak trochę polotu, jego obowiązkiem jest i nauczyć i zainteresować. Pamiętam doskonałe lekcje z moim pedagogiem. Z wypiekami czekaliśmy na kolejny wykład. Wiadomości encyklopedyczne były wzbogacane własnymi impresjami wychowawcy, który zresztą wiele podróżował. Nigdy nie byłem w Wenecji, ale o zabytkach tego pięknego miasta mógłbym powiedzieć nie mniej niż o zabytkach Lublina. A przecież i Lublin trochę znam. Zbudzą mnie w środku nocy i bezbłędnie wymienię prawe i lewe dopływy Wisły. Nie wkuwałem nazw na pamięć, ale godzinami ślęczeliśmy nad mapą Polski, wielokrotnie ją przerysowywaliśmy, wszystko dobrze utrwaliło się w pamięci. Przez cały okres nauki tylko jeden kolega dostał dwóję z geografii. Ale ona dzielnie uzupełniała kolekcję innych ocen niedostatecznych, nie mógł więc mieć żadnych pretensji.

Wymienić po nazwisku tego pedagoga? Mógłbym, ale niech by mi było wolno przytoczyć również nazwiska tych, których krytykuję! Wiem, że Pan Redaktor sam wykreśli, bo „Kamenę" przecież czyta młodzież i nie wolno podrywać autorytetów. Gdzie jest jednak powiedziane, że zły nauczyciel musi zawsze pozostawać na posterunku? Zmienia się złych ministrów, złych dyrektorów, złych sekretarzy. I nikogo to nie dziwi. Czy między Bugiem a Odrą mamy jednak samych wybitnych pedagogów?

Panie Redaktorze! Proszę mnie dobrze zrozumieć. Doceniam trud nauczyciela. Zbliża się Dzień Nauczyciela, sądzę, że „Kamena" będzie o nim pamiętać. Jestem jednak przeciwko tabu. Solidarność zawodowa to rzecz na pewno cenna, ale i w tym wypadku nie wolno przesadzać. Prawdziwa cnota krytyk się nie boi.

Dziś i uczeń się nie boi. Dwója — z nadmiaru — przestała być dla niego straszakiem.

A może bardziej zróżnicować skalę ocen?

Jacek

NOTY i notki

W RECENZJI O TELEWIZYJNYM „Archimedesie" pani Krystyna z „Nowin Rzeszowskich" (nr 239) najpierw stwierdza, że „Dygat w ogóle się zgrywał na polskie enfant terrible literatury" twierdząc m. in., iż Kleopatra to Marylin Monroe starożytności — a potem zastrzega się całkiem serio: „cudze łóżka mnie nie interesują". Może i tak, ale większość ludzi śpi już na tapczanach.

JAK SIĘ OSTATNIO OKAZAŁO, wśród 1155 lokatorów nowych domów w Białymstoku, którzy nie płacą komornego, jest 100 rodzin, z których nikt nigdzie nie pracuje. Zastanawia nie tylko fakt, z czego te rodziny żyją, ale przede wszystkim, w jaki sposób uzyskały one przydziały mieszkaniowe?

KOKIETERYJNIE ROBI SOBIE reklamę Al. Małachowski we „Współczesności" (nr 21). Pisze mianowicie, że w normalnym programie telewizyjnym natychmiast odkrywa i rozumie wszystkie nieprawdy, czego chyba nikt poza nim nie może twierdzić. A potem, że w programie Politechniki Telewizyjnej słyszy same doskonałe prawdy i nie rozumie ani jednej. To też nieprawda, bo na marginesie jednej z tych rzekomo doskonałych prawd napisał ciekawy felieton, czego nie mógłby przecież zrobić, gdyby nic nie rozumiał.

A JEŻELI JUŻ O TELEWIZJI mowa to trzeba zwrócić uwagę, że w niezwykle popularnych „Turniejach miast" coraz częściej jesteśmy świadkami różnych szachrajstw, jak ostatnio z dosypywaniem mąki. Ponieważ p. Pach nie wiadomo czemu na to nie zareagował, całej Polsce pokazano, że niekiedy szachrajstwo się opłaca. Rola wychowawcza telewizji, o czym tak wiele się mówi i pisze, została tu wyraźnie zgwałcona.

NIE TYLKO TYTUŁ, ale i podtytuły powinny odpowiadać treści. Tę zasadę złamała jednak beztrosko „Trybuna Ludu", skracając 3 października wiadomość z wydania warszawskiego na wydanie prowincjonalne. W podtytule informacji o pobycie w Jugosławii polskiej delegacji czytamy, że jej członkowie zostali udekorowani wysokimi odznaczeniami SFRJ, ale w skróconym tekście na ten temat ani słowa. Tak poważna gazeta nie powinna lekceważyć prowincjonalnych czytelników.

WE WROCŁAWIU oddano do użytku wieżowiec, a w nim mieszkania dla młodych pracowników nauki. Przydziały wydano w ten sposób, że żony muszą razem mieszkać na dwóch piętrach, a mężowie na innych też razem. Widocznie wrocławscy naukowcy starszego pokolenia (albo urzędnicy administracji) postanowili w ten sposób walczyć z nowym wyżem demograficznym nie oglądając się na fakt, że o separacji małżeństw może decydować tylko sąd, a nie władza kwaterunkowa.

SENTENCJĘ O WIELKIEJ GŁĘBI filozoficznej i smakowo-zapachowym aspekcie przedrukowało „Życie Warszawy" (nr 229) z londyńskiego „Timesa": „Zdaje się, że większość lojalnych poddanych królowej, uzna chyba, iż lizanie mniej uwłacza jej godności niż stemplowanie". Chodzi zaś o to, czy podobiznę królowej zamieszczać na znaczkach pocztowych tradycyjnie czy na odwrocie.

W TYM SAMYM NUMERZE „Życia Warszawy" przeczytaliśmy takie drobne ogłoszenie: „Wniosę 100 tysięcy, oczekuję propozycji". Jeżeli chodzi o 100 tysięcy złotych, zgłaszamy propozycję: wynieśmy.

TEGO JESZCZE NIE BYŁO: nagrody za krytykę. Oto kieleckie PKS przeznaczyła 10 tysięcy złotych na nagrody dla pasażerów, którzy na podstawie przykrych doświadczeń zgłoszą najciekawsze wnioski w sprawie usprawnienia działalności tego przedsiębiorstwa. Aby jednak rzecz upowszechnić, chcielibyśmy wiedzieć, z jakich funduszów płaci się te nagrody? Może z kar, płaconych przez niesfornych pasażerów? Pomysł całkiem niezły.

Z OKAZJI XV-LECIA kieleckiej rozgłośni radiowej „Słowo Ludu" (nr 274), tak pisze o jednym z kolegów-radiowców: „Będąc miłośnikiem kobiet wstąpił w związki małżeńskie z Marysią K..., stąd córka Ewa, która na 15-lecie radia kończy właśnie 15 lat! Czego się nie robi dla radia". O ile umiemy liczyć, to małżeństwo i jedna z jego konsekwencji odbyły się znacznie wcześniej, niż ów kolega zaczął pracować w rozgłośni. Więc nie przesadzajmy w reklamie!

Z życia bokserów

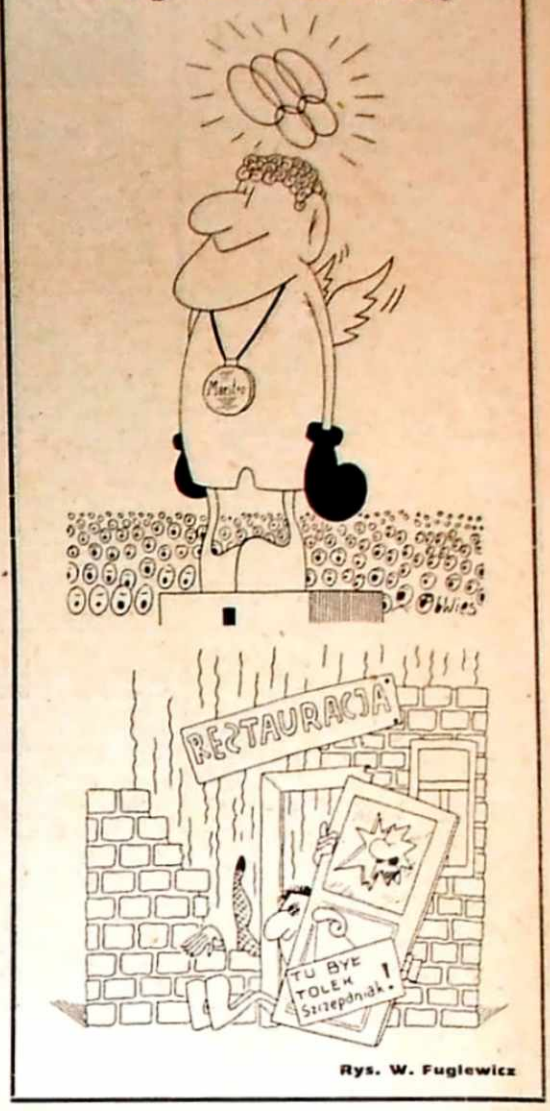

Rys. W. Fuglewicz

Moje koniugacje

Ucieczka

WSZEDŁEM w poranną zieleń. Rosy drzemiące na trawach, chłodnymi dotykami orzeźwiały mi nogi. Zagłębiałem się w ten nieznany las. Od niego czekałem odrodzenia.

Las obco, podmuchami wiatru pomrukiwał swą odwieczną pieśń. Nad koronami drzew płynęła ponura jednostajność nieba. Gdzieś, za pesymistyczną szarością chmur, wytryskały promienie niewidocznego stąd słońca.

Las dostojny i obcy. Byłem już pewien, że on nie może mi pomóc, bo jest jak zły człowiek, niezdolny do najmniejszego gestu miłości. Można tu myśleć o miłości i śmierci, a każda myśl będzie rozpaczą. Zieloność otaczała mnie, odgradzała od ziemi i nieba. Wiedziałem już, że las jest moim wrogiem, że powinienem stąd uciec jak najśpieszniej. Ale poczułem się tak zmęczony i zrezygnowany, że było niemożliwością, abym zrobił cokolwiek dla uratowania się. Tak naprawdę, to chciałem tylko umrzeć, umrzeć choćby na jedną niewielką godzinę.

Nigdy nie mogłem sobie przypomnieć, czy omdlenie wyszło ze mnie, czy z otaczającej mnie wrogości.

Po przebudzeniu promienie sprzyjającego słońca, wyprowadziły mnie na obszary łąk. Były pełne światła i łagodnego życia, ale przeraziły mnie najprawdziwiej, bo na ich przestrzeniach nie było śladu człowieka. Miałem coraz większą pewność, że od lat jestem pierwszym, który się tu znalazł.

To jest bardzo beznadziejne, w dniu, w którym się szuka ratunku, znaleźć się w miejscu unikanym przez ludzi.

Błądziłem wokoło, gorączkowo szukając odpowiedzi na pytanie: co teraz zrobić?

W tej wędrówce po labiryncie drzew i kwiatów natknąłem się na dwa obejmujące się szkielety.

Kiedyś wiele nocy spędziłem nad podręcznikiem anatomii w towarzystwie szkieletu. On był moim współtowarzyszem pracy, prawie przyjacielem. Tych dwoje ludzi — już kości tylko — splecionych kanciastymi uściskami, przyprawiło mnie o lęk tak doskonały, że długo stałem nad ich pozbawioną ciał miłością i jedynym moim pragnieniem był głośny krzyk. Nie wydałem jednak z siebie najcichszego głosu. Obawiałem się, że zbielałe kości potrącone najlżejszym dźwiękiem wybuchłyby, swą pylistością uniemożliwiając mi już wszystko. Nie wiem, kiedy zacząłem uciekać, ale stało się to bardzo dawno. Najprawdopodobniej ta ucieczka trwa nadal.

Roman Wiśniewski

Odpowiedzi redakcji

A. G. Nie wymieniamy miasta. Pan będzie wiedział najlepiej, kto jest adresatem. Dziękujemy za miłe słowa. Pan zawsze może liczyć (przy swoim talencie) na naszą życzliwość. Nie zamierzamy Panu udzielać rad, bo sam Pan sobie doskonale radzi. Z nadesłanych utworów możemy wydrukować i „Drzewa", i „Obcy", i „Przebudzenie I", i „Widok z okna", i „Sen", i „Dojrzałość" — to jeszcze nie koniec listy. Niestety, nie mamy zbyt wiele miejsca na poezję, niemniej prosimy o cierpliwość. A swoją drogą mógłby Pan w jednym z wydawnictw wszcząć starania o wydanie zbiorku.

Wielu poetów, a może ściślej kandydatów na poetów zarzuca redakcji złośliwość w ocenie poszczególnych utworów. Może zmienią zdanie po tej odpowiedzi.

C. C. w Krakowie. Zatrzymujemy „Schody". Dobry jest również „Wieczór zimowy", choć — wydaje się — zbyt tradycyjny.

S. L. w Lublinie. Upór jest cenną rzeczą, ale humor w Pana opowiadaniach(?) nie wyróżnia się niczym indywidualnym. Może Pan spróbuje „na serio"? Teksty oddamy a przy okazji chętnie gościlibyśmy Pana w redakcji.

J. F. w Łodzi. Opowiadania zatrzymujemy w tzw. tece redakcyjnej, trudno nam jednak obiecać konkretny termin druku. Pozdrawiamy.

W. N. w Krakowie. Prosimy (ta uwaga stosuje się nie tylko do Pana) nie nadsyłać znaczków, bo nie zamówionych rękopisów redakcja nie zwraca (informujemy o tym rzetelnie w każdym numerze). Pana wiersze są „gładkie", wykazują spore oczytanie autora, ale owo oczytanie (tak sądzimy) zamyka się głównie w obrębie międzywojennego dwudziestolecia i epok wcześniejszych, co, oczywiście, nie wystarcza do szerszych publikacji. Może coś wykorzystamy w przyszłości z wierszy oryginalnych, bo tłumaczenia nas nie zainteresowały.

W. N. w Zaczerniu. Te dwa wiersze nie są złe, ale też nie są na tyle dobre, by poprzez ich wydrukowanie sankcjonować poetycko „zarżnięty" motyw krajobrazu kojarzonego z refleksją podmiotu. Dziś naprawdę trzeba być wielkim poetą, aby taki pomysł wyrastał ponad przeciętność tego, co drukuje się w różnego rodzaju pismach czy almanachach studenckich. Może Pan przyśle inne utwory?

K. R. w Lublinie. Oczywiście, że nie zapomnieliśmy! Może różnica nie jest aż taka, jak „między rumem a rumakiem" (cytujemy Pana słowa), w każdym bądź razie Kordian nigdy nie „dublował" Konrada w III części „Dziadów". Chochlik jednak czuwa!